

TYDZIEŃ POLSKI

TRĘŚĆ: Zamach Lwowski. *Iza Moszczeńska*: — O naprawę Rzeczypospolitej. — *W. Rzymowski*: „A Europa wciąż czeka na pokój. *Prof. Adorjan Divéky*: — Walka o Kresy Węgierskie. *T. G.*: — Anglja i Ameryka. *Zygmunt Łada*: — Ceny a Waluta. — Polska i Sowjety: *J. Z.* — Cel osiągnięty. — *Z.* — Dla syna Adama Mickiewicza. — List do redakcji. — *Ś. p.* Paulina Kuczalska. — Za oceanem. — Stosunki Polsko-jugosłowiańskie. (dokończenie). Z piśmiennictwa.

Zamach lwowski.

Zamach lwowski musi do głębi wstrząsnąć uczuciami Polski i wywołać bez różnicy zapartywań odruch głębokiego żalu. Jakkolwiek obecnie usprawiedliwiałby się student Fedak w chęci odciążenia winy, ma czyn jego wszystkie znamiona bezwzględności fanatyzmu, jest przejawem dziedziczenia rusińskiej „czarnej ręki” i poniekąd dalszym ciągiem mordu, dokonanego przez Mirosława Sicińskiego na wielkorządcy Galicji, Andrzeju Potockim. Przed kilku tygodniami zwracaliśmy uwagę (Numer 36) na memoriał Rady Narodowej Galicji Wschodniej, wniesiony do Rady Najwyższej w Paryżu, z ostrzeżeniem przed wszelką próbą złaczenia losu dawnej ziemi czerwieńskiej z Rzeczpospolitą. Dokument zawierał wyraźne groźby ucieczki pod skrzydła samoobrony w razie spełnienia zamierzenia, oparcia się o masy ukraińskie i przypomnienie nazwiska Sicińskiego, zatem zapowiedź rozpraw potępieniowymi sposobami. A skoro już żale rusińskie wpłynęły do rzeki zajęć Rady Najwyższej, trzeba było ich jaskrawy łańcuch oświetlić bengalskim efektem, aby w zbliżających się chwilach rozpatrywania t. z. „Statutu Galicji Wschodniej” napiętnować laską gospodarke, jako wcielenie bezprawia, samowoli i desperackiego niszcycielstwa. Na szczęście ocalał Naczelnik Państwa i towarzyszący mu wysoki urzędnik i tem jedyna pociecha, wynikająca z pożądanego wydarzenia na Rynku lwowskim, uświęconym tradycją Jana Sobieskiego i dostojnych członków patrycjatu, Boimów i Alembeków.

Z równowagą, mistrzynią konieczną w bolesnych momentach, musi narzucić się pytanie, czy przy następstwach wynikających z szaleństwa należy widzieć wzniesiony miecz zbrodniczy czy też rękę, która nią kierowała z poza ciemnych

kulis. Rusińskie metody „zwracania uwagi” na dążenia pp. Petruszewiczów, Kościów Lewickich, Trylowskich i wychodźców, którzy w Wiedniu założyli kuźnię, osadzając w niej sztab „siczowników”, nie mogą chyba rozczulić sędziów w łonie Rady Najwyższej. Zdrowy rozum pojmie, że stwarzanie podobnych dowodów rozpaczcy, fabrykowanie krwawych zamachów, sprzątanie ludzi najniewinniejszych gwołi narobienia hałasu, jest środkiem zgoła barbarzyńskim i dzikim, mogącym zachwiać najzupełniej wiarą w zarzuty wymagające aż zbrodniczego poparcia. Mimo całej potworności faktu, mimo blzantyjskich poczynań, mimo prostactwa roboty, przeświecającej grubym szychem, musi zajście lwowskie być poważnym *memento* celem sumiennego rozważenia problemu za Sanem i niezbywania go milczeniem lub płytkimi terminami oraz takimi oznaczaniami w rodzaju wymyślań na temat hajdamaczyzny Gontów, Żelazniaków, bandytów, owej wielorakiej pstrokacizny słów, bynajmniej nie niosących ukojenia ani zbliżenia się do granic przecięcia gordyjskiego węzła.

Sprawę rusińską odziedzyczyliśmy po Austrii, która wygrywając na strunach narodowościowych sprzeczności ludów, wchodzących w skład dwujedynnej monarchji, utworzyła na rubieży bukowin-skiej swoich „Tyrolczyków Wschodu”, aby w nich zyskać wędzidło kielzające nastroje polsko-galicyskie. Odkąd „Stauropigja”, środowisko t. z. moskalofilów we Lwowie stała się narzędziem w rękach rządu Karola Bacha dla przeparcia w polskim zaborze centralizmu, mającego zmiażdżyć nasze odrębności i tradycje, odkąd grecko-katolicki kanonik Szaszkiewicz, jako radca w wiedeńskim ministerstwie oświaty zaczął tępić polszczyznę w szkołach i urzędach Galicji Wschodniej, zapaliła się waśń, przytłumiona po konstytucyjnym dyplomie październikowym ministra spraw we-

wewnętrznych Gołuhcowskiego z 1860 r. Rolę moskalofilów objęli czasem radykali, którzy aczkolwiek ponęli nienawiścią do stauropigijców, przelicytowali się z nimi w szerszeniu wrogiego usposobienia względem naszego narodu. Wszelka rozumna inicjatywa, jak n. p. marszałka kraju, hr. Stanisława Badeniego, padała w głuszę i wiązała ręce nawet umiarkowanym żywiolom rusińsko-ukraińskim n. p. dr. Barwińskiemu i zwolennikom jego myśli. Potem, przyszły czynne demonstracje, burdy w uniwersytecie lwowskim Jana Kazimierza, mord w pałacu namiestnikowskim „pod kawkami”, i agitacja najohydniejsza w świecie.

Nie chodzi wszakże o sąd nad ludźmi i wydarzeniami, tylko o podkreślenie, że przykre dziedzictwo otrzymane po rozpadłej habsburskiej monarchii łącznie z wypadkiem lwowskim nie powinno w niczem zachwiać pragnienia i zagrozić drogi do porozumienia się z społecznością za Sanem, a w tej społeczności, zaślępionej i prowadzonej na pasku nie zawsze odpowiednich przewodców otworzyć oczy i przekonać ją, — że zbrodnicze czyny Sycińskich czy Fedaków są reżyserją — poza jej domowymi działaczami — także Wasylów Wszywanych *reale* arcyksiążąt Wilhelmów, czerpiących natchnienie nad Sprewą... Ogarnięci uczuciem radości z powodu ocalenia głowy państwa, powinniśmy uważać wydarzenie za sygnał ostrzegawczy, nakazujący wyteżoną uwagę poświęcać sprawom Galicji Wschodniej, zalecający kategorycznie udoskonalić administrację na kresach, powierzyć ją umysłom najteższym i charakterem najlepszym, aby usunąć cień wszelkich przewinień i przystąpić do obrony praw własnych z wskazaniem na dzieło cywilizacji nie tylko w przeszłości, ale i w teraźniejszości. Najmniejszy błąd spowodować może katastrofę — i wybuch jęku nieczesnego.

O naprawę Rzeczypospolitej.

I.

Idziemy ku katastrofie... Położenie nielepsze niż zeszłego lata! Tak alarmuje szeroką publiczność prasa wszelkich odcieni, dotąd jednak dość bezskutecznie. Paniki niema — to i lepiej. Nigdy bowiem panika nie zażegnała żadnego nieszczęścia, raczej do jednej klęski — czasem dającej się odwrócić — dodawała dziesiąt niepoważowanych.

Niebezpieczeństwo — jakkolwiek wielkie — tym razem znacznie mniej jest odczuwane, gdyż leży ono w dziedzinie zjawisk nie tak zrozumiałych jak zeszłoroczny najazd i walka zbrojna, mająca go odeprzeć; choć więc każdy czuje, że się źle dzieje, mało kto orientuje się, czem ono grozi i gdzie szukać ocalenia.

Marka spada, ceny rosną, a w polityce wszystko zły obrót bierze, wszystko zawodzi, jakgdyby cały świat przeciw nam się sprzysiął. Gotowiśmy tedy gniewać się na cały świat, to też codziennie urągamy Niemcom, sarkamy na Anglię, zgrzytamy zębami na Litwinów, co — ogółem biorąc — wcale nie pomaga. Urągamy również sami sobie, a raczej jedni drugim. Jeżeli mimo cudownego zrządzenia losu, który powalił wkoło nas wrogie nam potęgi, tak groźne, że każda z nich osobno mo-

gła nas bezkarnie deptać — nie jesteśmy dziś najszczęśliwszym ze współczesnych narodów, jeżeli i teraz źle nam się dzieje, to oczywiście ktoś w tem zawinił... Szukamy tedy winowajców nie tylko poza granicami kraju, lecz wiele natarczywiej w jego wnętrzu. Najprzód rząd winien — więc obalić rząd. — Obalamy jeden gabinet za drugim i to nie pomaga. Sejm winien. Dalejże rozpędzić sejm. — Są i inne głosy: ustępujący premier obwieścił: społeczeństwo wlnno! (nie pierwszy raz się to mówi). Aż dziwno, że po tem twierdzeniu nie rzucono hasła: rozpędzić społeczeństwo!

A wszystko to nie jest przecież ani programem, ani kierunkiem, ani żadną wogóle polityką — tylko odruchowym „ciskaniem się”. To nie walka stronnictw — jak się zwykle mówi u nas, to dąsy i grymasy. W każdym kraju bywa obalonym rząd, który rządzi źle, lub ze złym skutkiem, ale robi się to tylko w tym celu, by wybrać lepszy. Normalnie każdy gabinet ustępuje pod atakiem tego nowego, który już idzie zając jego miejsce. U nas zawsze znajduje się gotowa większość do obalenia gabinetu, niema jej do powołania nowego. Dopiero gdy gabinet upadnie, zaczynają się narady nad wyborem osób do władzy, a te narady nie kończą się nigdy właściwie, gdyż po przesileniach gremjalnych snują się nieprzerwanie przesilenia cząstkowe. Przypominam, że u nas żaden rząd nie ustępował w takim składzie, w jakim obejmował władzę. A może to wina sejmu?

Trudno uwierzyć, bowiem większość przestleń decyduje się poza plecami sejmu, jeżeli nie wręcz pod jego nieobecność, jak np. ostatnie. Jedne rządy upadały na komisjach, inne na konwentach senjorów, inne wreszcie nawet na Radzie Ministrów. Każdy prawie z naszych gabinetów miał malkontentów we własnem łonie, malkontentów, którzy nie odczuwając nawet humorystycznego efektu, sarkali na „zły rząd”, w którym zasiadali sami, — a dla sanacji występowali z niego. Nieomal nie zdarzyło się, by Izba jako taka, Izba swą policzną większością przeciwstawiła się rządowi. Nie było też rządu, któryby się jej chciał poważnie przeciwstawić. Już w pierwszych tygodniach naszego wskrzeszonego parlamentaryzmu chwalili się posłowie, że „rząd pada plackiem przed Izbą”. Każdy następny również plackiem padał i mimo to (a może właśnie dlatego), bardzo szybko tracił jej zaufanie.

Tak samo jak rząd przed sejmem, Sejm „padał plackiem” przed wyborcami i dlatego nie można wcale brać poważnie zarzutów „sejm winien! sejm rozpędzić!” Któż ma moralne prawo tak mówić? Czy ten ogół wyborców, powołany do urny wedle najdemokratyczniejszej ze znanych na świecie ordynacji wyborczej? Toć przypuszczać wolno, że każdy obywatel wybierał ludzi najlepszych, jakich znał; obowiązkiem jego było tak wybierać.

Może teraz lepiej poznał się na ludziach, może znalazł lepszych kandydatów, musi się jednak liczyć z tem, że nie będzie w jego mocy obsadzić czterystu krzeseł, że inne będą rozdzielane wedle upodobań i sympatji innych, niż jego własne. Sejm będzie tedy zawsze taki, jaki w danych warunkach, przy danym materiale ludzkim może być, nie zaś takim, jakim według jego zdania musi być. Aby sejm poprawić zgodnie z zy-

zeniami ogółu, trzeba tedy, by każdy obywatel swojemu posłowi na zgromadzeniach relacyjnych przedstawiał swoje żądania i zarzuty. O tem się jednak nie słyszy; nieodmiennie na wszystkich wlecach każde stronnictwo otrzymuje oklaski, a urągowska rzucane są pod adresem nieobecnych. Najkomiczniej brzmią narzekania na sejm i hasła „rozpędzenia“ w ustach posłów a zwłaszcza t. zw. senjorów stronnictw, to jest tych, którzy we wszystkich momentach ważnych za sejm przemawiali, rozstrzygali i postanawiali. Czy mówiąc o rozpędzeniu sejmu mają zamiar rozpędzić samych siebie? Ależ to można zrobić bez wszelkiego hałasu i bez żadnych przewrotów: złożyć mandat i poprosić wyborców, by poszukali sobie lepszego przedstawiciela.

I tu znowuż, jak przy obaleniu rządu, trudno naprawdę rozumieć cel tej igraszki. Czy chodzi o to, by skład sejmu poprawić? Tego nie da się dokonać inaczej, jak przez zmianę ordynacji wyborczej.

Cokolwiek się da powiedzieć przeciw społeczeństwu, nie można zaprzeczyć, że jego pierwszy występ obywatelski odbył się wzorowo: wybory dokonały się spokojnie, porządnie, bez gwaltów i nadużyć—jak mało kiedy w państwach mających dawne tradycje i rutynę. Ponieważ tedy każdy wybierał, jak umiał, a dziś wszyscy widzą, że wybierano źle, więc dowód jasny, że umiano wybrać lepiej. Czyż nie narzuca się stąd wniosek, że wartoby zmienić metodę wybierania?

Nie „obalać“, „rozpędzać“, lecz naprawiać, zmieniać, ulepszać — oto zadanie właściwe, obowiązek nieodzowny każdego obywatela i polityka.

Przedewszystkiem zaś sumienie obywatelskie stawiać sobie musi zawsze pytanie zasadnicze, co potem? Jak wiemy z doświadczenia, obalać jest znacznie łatwiej, niż budować, rozpędzić, niż zorganizować.

Przed trzema laty najgorętszym pragnieniem Polaków było mieć własny wolną wola narodu zwołany sejm i własnego układu konstytucję. Sejm przez dwa lata biedził się nad ułożeniem konstytucji, narzekano na zwłokę, naglono; obchodziliśmy wreszcie uroczyste jej narodziny. Tylko jeszcze trochę pracy potrzeba, by ją uzupełnić i w życie wprowadzić—a oto ta jeszcze niezrealizowana konstytucja, której nie zdołano nawet w życiu wypróbować, już dla nas wartość straciła; mamy ochotę ją obalić. Czemże bowiem byłoby dziś rozpędzenie sejmu, jak nie obaleniem konstytucji?

I czy nie przychodzi nam na myśl, że dziś, gdy dopiero co wyszliśmy, z wojennego zamętu, gdy jeszcze żyjemy bez ustalonych granic, bez skryzalizowanego ustroju administracyjnego, bez budżetu, bez stałej waluty, gdy wszystko jeszcze u nas i wokoło nas płynne, chwiejne, zagadkowe—obalać konstytucję, rozpędzać sejm — jedyne legalne źródło władzy, jedyną rzecz przez nas stworzoną, która jest i trwa—byłoby to pchać Polskę w otchłań wydarzeń losowych, z której dopiero co szczęśliwie wypląnęła?

Byłoby to przyłożeniem własnej pieczęci do wyroku cywilizowanego świata, że my i dziś—jak przed stu pięćdziesięciu laty—nie umiemy się rządzić, że z tego powodu rządzić musi nami ktoś

inny? Może Liga Narodów? — może jakaś mała czy duża Ententa?

Póki budowaliśmy, choć mozolnie i nieudolnie, można było nam ufać, że coś sami dla siebie zrobimy, że damy sobie radę z czasem. Gdy jednak zaczniemy rozwalać wczorajszą budowę, jak domek z kart, czyż nie utwierdzi się przekonanie, że cała Polska jest domkiem z kart, „ein Saisonstaat“ i gdy minie „sezon“, może jej wcale nie będzie?

D. n.

Iza Moszczeńska.

„A Europa wciąż czeka na pokój!...“

„Czy niebezpieczeństwo, zagrażające cywilizacji zachodniej, może być *jeszcze* odwrócone?“ — słysząc to groźne pytanie, postawione w dziele prof. Znanięckiego^{*)}, czytelnik miał prawo do refleksji: „jako? czyżby niebezpieczeństwo było tak naglące, tak powszechne, tak nieublagane? czyżby prawdą było, że zbliżamy się do proga przepaści? że każda chwila, która mija, nieuchronnie niesie nas ku zgubie? że to, czem człowiek kulturalny żył dotąd, czem oddychał, w co wierzył, na czem godność swą istoty myślącej zasadzał, to wszystko jest u podstaw zachwiane, podkopane, blizkie zawalenia się w otchłań, z której wyzierają widma głodu, nędzy i barbarzyństwa, ale ponad którą nie widać w najdalszej perspektywie gwiazdy odrodzenia?“

Istotnie: wszystkim instynkt życia buntuje się przeciw naglącej formie tego pytania! Człowiek żywy wie o swej śmierci: ale póki żyje, nie wierzy w nią; i wierzyć w nią nie może; gdy uwierzy, w tej samej chwili zaczyna się jego umieranie. W podobny sposób z każdym, współcześnie myślącym człowieku, wszystka kulturalna treść jego duszy buntuje się przeciwko groźbie upadku tej cywilizacji, której zawdzięcza swą dojrzałość umysłową, swą postawę wobec świata i — zaświata. Tysiąc lat bytu państwowego w każdym Polaku, dwa tysiące lat tradycji kulturalnej w każdym Europejczyku buntuje się przeciwko możliwości załamania się i pogromu cywilizacyjnego primatu Europy. Od półtora wieku, od encyklopedystów francuskich, poprzez ewolucjonizm angielski i nietzscheańskie marzenia o potędze Nadczłowieka, zżyliśmy się tak ściśle z wiarą w postęp ludzki na wszelkich polach i we wszelkich kierunkach, że automatycznie zaufaliśmy niemal przyrodzie i jej rzekomo immanentnym dążnościami ku doskonaleniu życia zarówno w postaciach indywidualnych, jak zbiorowych. Napróżno Sorel przestrzegał o „zludzeniach postępu“, dowodząc, że to, co powstało w nas, jako przekonanie o stopniowem, a nieustającym doskonaleniu się form życia i współżycia w łonie cywilizacji zachodniej, jest tylko podmiotowym refleksem tego wzrostu i rozmachu potęgi, z jakim przez dwa ubiegłe stulecia kroczył tryumfujący kapitalizm, coraz usilniej wzmagający tętno wytwórczości, aby ogarnąć coraz szersze rynki zbytu.

Europa, głucha na przestrogi, ślepo ufając geniuszowi postępu, z zamkniętymi—rzec można—

*) „Upadek cywilizacji zachodniej“. Poznań, 1921.

oczami skoczyła w krwawą topiel wojny. Nie wątpiła, że wyjdzie z niej odmłodzona, swobodniejsza; że w tej topieli zbędzie nie jednego ciężaru, nie jednego grzechu, niejednych kajdan. Ta ufność ślepa, że rozwojem ludzkości kierują jakieś dobre bóstwa opiekuńcze, jakieś patronki lub jacyś patroni świętej Ewolucji, była tak wielka, że w toku wojny, już na cmentarzysku niezliczonych mogił, i już w obliczu niezmiernych, zaiste, niepowetowanych spustoszeń, lękano się raczej tego, aby z wojną połączona rzeź i niszczycielstwo nie skończyły się zbyt wcześnie, niżli tego, żeby miały trwać zbyt długo....

....Aż stało się to, co zwolna, zwolna, jakby przez mgłę czerwoną, jakby z trudem przecierając oczy, stopniowo zaczynamy rozumieć — dziś dopiero — w trzy lata po skończeniu wojny: Europa poderzwała sobie żyły!

Gdy Fiorjan Znaniecki snuje złowrogie przewidywanie swe na pograniczu filozofii kultury i socjologii; gdy w dzwon na trwogę bije niepokojem myśli, nurtujących w sferze zagadnień, połączonych z zachowaniem i ocaleniem naczelných dóbr ludzkości, niebrak już dziś głosów, które tym samym, równie złowieszczym przewidywaniom dają wyraz, na podstawie szczegółowego rozbioru faktów natury ekonomicznej, przemysłowej, handlowej; na podstawie ważenia budżetów państwowych w Europie powojennej; na podstawie statystyki, wykazującej dane ludnościowe i dane produkcji; na podstawie tego wszystkiego, co jest doświadczeniem trzech lat okresu powojennego, co jest obserwacją realnych sił i czynników, warunkujących rzeczywistość naszą zarówno polityczną, jak gospodarczą, społeczną i kulturalną.

Do głosów takich należy dzieło wybitnie znanego amerykańskiego Pierrepoint'a B. Noyes'a p. n. „While Europe waits for peace“ (Gdy Europa czeka na pokój). Autor, dawny komisarz Stanów Zjednoczonych w prowincjach nadreńskich, a zarazem przewodniczący Komisji międzysojuszniczej do podziału węgla, miał możliwość osobiście i bezpośrednio wejrzeć we wszelkie rany, jakie zadała sobie Europa w ciągu wojny; miał możliwość też osobistego wejrzenia w to okrucieństwo, z jakim rany swoje, na polu walki odniesione, rozdzierało następnie własnymi rękami w okresie powojennym.

Powojennym? Zdaniem uczonego amerykańskiego Europa pozostaje wciąż jeszcze w okresie wojennym. Jej nieszczęsne aż do bezwładu wycieńczone ludy wciąż jeszcze czekają na pokój, prawdziwego pokoju nie znając.

A faktem jest, że długo już czekać nie mogą. Nad Europą wisł katastrofa.

Niebezpieczną jest rzeczą bawić się w proctwa. Zazwyczaj, kto chce sięgnąć w przyszłość, naraża się na pomyłki w szczegółach, zwłaszcza wówczas, gdy tak, jak w obecnym zamęcie europejskim, tysiąc powikłanych i krzyżujących się czynników działa jednocześnie, zmierzając ku jednemu wynikowi. Można być przekonanym o nieuchronności katastrofy, a jednak nie być w możności przepowiedzenia formy, jaką katastrofa przybierze.

Wyobraźmy sobie, że hamulce samochodu, toczącego się po stromej pochyłości, nagle odstawiają posłuszeństwa: niepodobna zgóry określić, jaki rodzaj nieszczęścia przytrafi się w dro-

dze. Pojazd rozbić się może o słup telegraficzny, może zwałić się do rowu, może wpaść na inny wóz przejeżdżający; ale, jakkolwiek wie nie się zgóry ani momentu, ani rodzaju katastrofy, która grozi, sam fakt katastrofy nie ulega żadnej wątpliwości.

Otóż właśnie, Europa toczy się obecnie, powiada ekonomista amerykański, po takiej stromej pochyłości; we wszystkich krajach jej niewypłacalność finansowa, marazm gospodarczy, bezrobocie, głód, nędza i demoralizacja społeczna są tyłomaż czynnikami rozstroju i zagłady, które sumują się ze sobą i wzajemnie działają swe potęgą. Czynniki te górują i ciążą nad codziennym biegiem polityki europejskiej: ci, którzy zbliżeni śledzili jej wyniki, nie wątpione o tem, że w ostatecznym skutku muszą mu spowodować rozwiązanie tragiczne. Jedna z powag brytańskich utrzymywała, że „cała Europa produkuje zaledwie połowę tego, co spożywa“. Być może, jest w tem trochę przesady.

— Gdy jednak powtórzyłem opinię tę dr.owi Leachowi, amerykańskiemu, który dwa ostatnie lata spędził w misji rządowej we Włoszech, w Serbji, w Polsce tudzież w innych krajach Europy wschodniej, podkreślił on z naciskiem, że niema w niej żadnej przesady. Rzecz możliwa, że zachował on zbyt żywe wrażenie tego, czem jest istnienie mas społecznych w tych krajach pomniejszej wagi, które od lat dwóch dużo wojują i mało wytwarzają, lub nic nie wytwarzają. Lecz, z drugiej strony, powszechnie znany fakt, że w pierwszym semestrze roku bieżącego nawet Francja wwozła towarów za 1.414 milionów dolarów więcej, niż wywozła, potwierdza, najwidoczniej wrażenia Leacha?

Czy niema dla Europy ratunku?

Ratunek jest. Jest, mianowicie, w Ameryce.

Połowa rozporządzalnego w całym świecie złota skupiła się w Stanach Zjednoczonych. Ameryka również posiada łącznie część surowców; jeśli tedy Stany Zjednoczone nie pośpieszą z częściowym przynajmniej przywróceniem finansowej równowagi świata, władanie surowcami, których tak braknie Europie, dołączy się do posiadanego przez Amerykę monopolu złota i kredytu: los Europy, skazanej na wyjałowienie i niemoc, pozbawionej kredytu i surowców, wcześniej iub później odbije się z kolei, i odbić się musi, z gubnie na losie ekonomicznym Ameryki.

Niezmierny bilans korzystny amerykańskiego handlu zewnętrznego podczas ostatnich ośmiu miesięcy z konieczności spowodował Amerykę do otwarcia pokaźnych kredytów poszczególnym państwom Europy, zwłaszcza zaś Anglii, te atoli awanse tymczasowe są zwykłymi tylko paljatywami. W wyniku swoim potęgują one tylko trudności nabywców europejskich, sprowadzając obniżenie kursu walut Europy; jedynie podjęta przez państwo Stanów Zjednoczonych systematyczna reglamentacja kredytów oraz wymiany walut może zapewnić towarom amerykańskim wywóz do Europy w ilościach dostatecznych do rozpoczęcia odbudowy przemysłu europejskiego.

Kto miał oczy dotychczas na grozę położenia zamknięte, temu otworzyć je chyba musiały ostatnie zdarzenia polityczne, dając właściwą perspektywę przyszłości. Niema potrzeby odwoływać

się do wyobraźni, aby ujrzeć los, jaki czeka państwa europejskie. Reakcyjny ruch militarystyczny, który na lądzie Europy odżył natychmiast, skoro tylko stało się oczywiste, że Ameryka zamierza opuścić Europę, i który od kilku miesięcy czyni postępy zastraszające, jest objawem sygnalizującym obłożność niemocy państw europejskich i zapowiedzią gorączki śmiertelnej...

Wyniszczona przez wojnę, upustem krwi wycieńczona Francja usiłuje z pomocą małej Belgji, wynędzniałej Italji, zawiedzionej w nadziejach swoich Polski, zapewnić sobie dominujące stanowisko militarne w Europie, gdy jednocześnie Rosja, potężna swym cielskiem, ale spętana niemocą i w dzikiej, krwawej męce i walce szukająca swej drogi, przeżuwa coraz silniejszą żądzę zemsty, która nieświadomo w jakim wybuchnąć może kierunku, i gdy jednocześnie Niemcy, potencjalnie potężniejsze od Francji, wraz z jej sojusznikami, czekają na swą godzinę.

Pierrepoint B. Noyes ze szczególnym naciskiem uwydatnia niebezpieczeństwo, gotujące się w potwornym kotle Rosji obecnej. Nie wydaje mu się wyłączoną tą ewentualnością, że sto kilkadziesiąt milionów zbarbaryzowanego ludu Słowian rosyjskich, opartych, być może, o miliony, nie wiadomo jak mnogie, ludów azjatyckich, staną u wrót Europy Zachodniej, narzucając wszystkim jedną, powszechną, nieublagalną doktrynę ognia i miecza. Pchnięte nadzieją szaloną odwetu, lub zmuszone rozpaczą, Niemcy, być może, połączą się z najazdem wschodu, potęgując jego rozkleszczoną burzę rozpędu.

Nikt nie może dokładnie przewidzieć form tej katastrofy, która wielkimi krokami zbliża się ku Europie; ale katastrofa jest nieunikniona, i nie da na siebie czekać, o ile Ameryka nie przyjdzie państwom europejskim z pomocą finansową i poparciem moralnem, jakie owa finansowa pomoc niezawodnie zrodzi.

— „Dopóki Stany Zjednoczone — stwierdza to ich własny wysoki komisarz — nie przyjdą dźwignąć Europy, ludy jej, jak owi mieszkańcy przysławionej mieściny z powieści Marka Twaina, rychno dojdą do stanu, w którym żyć i zarabiać na życie będą mogły jedynie piorąc jedne drugim bieliznę“.

* * *

Przedwojenna teoria, wedle której wojna, nawet krótka, pociągnąć miała za sobą ruinę ekonomiczną, była bliska prawdy. Jedyny błąd owej teorii wynikał stąd, że nie wzięto w rachubę ogromu zapasów, zarówno materialnych, jak duchowych, które we wszystkich krajach istniały i które rzucone zostały w wir walki z chwilą, gdy walka jąła toczyć się na śmierć i życie.

Zdarza się niekiedy, że człowiek, opanowany gorączką, zdobywa się na przejawy siły wprost niedrawdopodobnej i zdającej się wywracać wszelkie pojęcia o przyrodzonym porządku rzeczy: tak samo narody, popadłszy w war śmiertelnej walki, zdołały uruchomić obszary sił, niepodejrzewane dotąd przez nikogo, obszary, które nie mogłyby rozporządzać w żadnej innej chwili. I, podobnie, jak chory dotknięty gorączką, podlegają one, skoro walka minęła, tem głębszej prostracji. Od

chwili rozejmu Europa przebywa okres takiej właśnie prostracji, wynikającej z najgłębszego wyczerpania sił zarówno ekonomicznych i społecznych, jak politycznych.

Autor amerykański zużywa całą moc perswazji na to, aby wszczepić w swych rodaków-amerykanów tę niezbitą, jego zdaniem, prawdę, iż Europa w istotnym kierunku odbudowy swego układu produkcji prawie żadnych nie uczyniła dotąd postępów. Ruina czyha, jak mówi on, na wszystkich uczestników wielkiej wojny, i zwyciężonych i zwycięzców, z wyjątkiem, być może, Anglji. Naprawie szkód i spustoszeń, wyrządzonych przez wojnę, stoją na przeszkodzie antagonyzmy narodowościowe, nienawiści sąsiedzkie: one to paraliżują wszelki rzetelny, twórczy wysiłek ku odbudowaniu przemysłu i związanych z nim współczynników produkcji.

Po wojnie tak szatańsko niszczycielskiej, jak wojna światowa, było rzeczą wagi poprostu śmiertelnej, aby produkcja ruszyła z miejsca, ruszyła natychmiast, jak najrychlej. Jedynym lekiem na chorobę gospodarczą, jaka trawi obecnie Europę — jedyną nadzieją wszystkich ludów, jedyną oporą pokoju prawdziwego — jest produkcja, i jeszcze raz produkcja. Ale wojna niweczy nie tylko wyroby produkcji, niweczy ona samą maszynę produkującą. Dlatego naród każdy, pod grozą społecznego i politycznego zwyrodnienia, musi jak najszybciej odbudować swą organizację wytwórczą.

Ogniskiem ekonomicznej choroby, trawiącej Europę obecną, jest, zdaniem amerykańczyka, Francja i Niemcy. Te bowiem dwa kraje stanowią dźwignię, na której wspiera się cały system kontynentalny. Granice ich zawierają w sobie więcej, niż sto milionów najlepszych wytwórców Europy. Wobec innych krajów europejskich zajmują dwa te państwa tego rodzaju stanowisko, że ich stan ekonomiczny jest czynnikiem pierwszorzędnym dobrobytu i pomyślnego rozwoju większości narodów starego kontynentu. Pospołu z Anglją (jeśli, tymczasem, pominiemy Rosję) stanowią one trzy-czwarte zdolności wytwórczej, od której zależy szczęście i dobrobyt 470 milionów mieszkańców Europy.

Wielka Brytania, jakkolwiek bezsprzecznie, stanowi najbardziej uprzywilejowany punkt na mapie Europy, i jakkolwiek jedynym jest krajem wielkomocarstwowym, którego sytuacja się poprawia, nie może być brana w rachubę, jeśli chodzi o ratowanie ładu europejskiego. Wystarczy ogarnąć jej długi, jej straty w dziedzinie handlu zewnętrznego, jej trudności, wynikające z rosnących wymagań klasy robotczej, jej kryzys irlandzki tudzież postępową zniżkę jej funta szterlingów, aby zdać sobie sprawę z tego, że, jeśli jej odwaga, jej umiejętność i wytrwałość w przełamywaniu przeszkód, jej gotowość do obarczania się podatkami, którychby żaden inny kraj nie udźwignął, jeśli, słowem, wszystkie te czynniki dodatnie pozwolą jej utrzymać się na powierzchni dotąd, póki nie dobieje do brzegu, to nie będzie ona w możności przyjąć choćby jednej osoby na pokład, nie narażając się na zatonięcie.

Obok Wielkiej Brytanji, równie stanowczo, choć z innych względów, pominąć trzeba i Rosję przy organizowaniu pomocy ekonomicznej dla Europy. Rosja w jej stanie dzisiejszym jest i aczej

objektem niż subjektem, gdy chodzi o pracę odbudowy i wskrzeszanie życia wytwórczego. Co się tyczy Włoch, to, jak słusznie podkreśla komisarz amerykański, są one krajem pozbawionym węgla, a przeto z konieczności były i są nadal holdownikami kapitału cudzoziemskiego: ocala się one lub zatoną w zależności od tego, czy uratują się lub runą potężniejsi ich w zakresie sił przemysłowych sąsiedzi. Narody „mniejsze“, jak je nazywa obywatel „wielkich“ Stanów Zjednoczonych „wielkiej“ Ameryki, mając na myśli nas - Polskę a także Czechy, Jugosławję, Rumunję i t. d., jakkolwiek pospołu z Włochami reprezentują czwartą część produkcji europejskiej, tak ściśle są zespolone, ze stanowiska ekonomicznego, z losami Francji i dawnego centralnego bloku niemieckiego, że przyszła ich doła lub niedoła zależy w przeważnej części od sytuacji, jaka ukształtuje się we Francji i w Niemczech.

Niedwuznaczni rąsy charakteryzuje B. Noyes współczesną rzeczywistość naszą, gdy stawia swą naczelną tezę: „Europa utrzyma się przy życiu (na poziomie cywilizacji współczesnej) lub zginie nieodwołalnie, w zależności od tego, i czy zostaną lub nie zostaną rozwiązane pomyslnie zadania odbudowy ekonomicznej Francji tudzież Niemiec“. Stałe pogarszanie się ekonomicznego stanu Europy, od dnia rozejmu aż do chwili obecnej, uwarunkowane było stopniowym pogarszaniem się sytuacji gospodarczej w tych obu krajach. I Francja i Niemcy odniosły na wojnie rany bardzo głębokie. Zubożyły się do niebywających w czasie nowożytnym granic. Oto pozostają w takim wedle siebie stosunku, że potrzebują się nawzajem i związane są z sobą węzłami żywotnej wspólności. Wszystkie ich usiłności, wszczek ich rozum w okresie najlżejszych po rozejmie miesięcy powinienby był skierować się ku temu, aby ocalić i zabezpieczyć te resztki zasobów przemysłowych i gospodarczych, jakie w obu krajach zostały, niedożarte przez wojnę. Gdyby były oba z pośpiechem wzięły się, nazajutrz po zawieszeniu broni, do uprzątnięcia gruzów, spiętrzonych przez lata mordy i pożogi, i gdyby były natychmiast, odrzuciwszy karabiny i działa, nawróciły się na politykę zgody i kooperacji, to i wtenczas zadanie, przypadające im w udziale, byłoby strasznie ciężkie. A tymczasem nienawiść, strach i nienawiść wzajemna dyktowały im i dyktują politykę wręcz przeciwną.

W. Raymowski.

Walka o kresy węgierskie.

Jedną z czołowych spraw bieżącej polityki jest spóro zachodnie kresy węgierskie. Mają one przypaść na podstawie traktatu w Trianon Austrii, chociaż ona wyniosła klęskę z wojennej zawieruchy. Mało. Na pamiętnej Radzie koronnej w lipcu 1914 r. wszyscy habsburscy mężowie stanu głosowali za rozstrzygnięciem powikłań orężem, jedyny tylko premier węgierski Tisza podnosił stanowczy głos sprzeciwu. Mimo to obdarowuje się Austrię, raczej dzisiejszą jej miniaturową, pięknym szmatem korony Św. Szczepana. Oczywiście ciós bolesny

nad wyraz dla Madziarów, że czeka ich utrata części, drogiej pod względem kulturalnym, historycznym, uczuciowym, nawet i materialnym. Sporne terytorjum liczy 5055 km. kw. 392 000 mieszkańców, z czego Niemców 250.000, Węgrów 80.000, 48.000 Kroatów. Kraj górzysty, pokryty przeważnie lasami, posiada tylko na północy urodzajny komitat Moson, nie tak wszakże wielki, aby mógł być spichrzem Wiednia. Okolice Szoprona i Ruszt zielenią się polami winogrodu. Ponadto kopalnie żelaza i węgla brunatnego. Przestrzeń cała ma mocno rozwinięty przemysł fabryczny, który zaopatrywał rynki całych Węgier.

Stara kultura i stare dzieje zaorały się formalnie w zachodnie Węgry. Już za czasów rzymskich słynęło w nich miasto Scarabantia, dziś Szopron, miejsce urodzin Liszta, pełne archaicznej architektury, bogato uposażone w szkoły, muzea i t. d.

Na tej ziemi, uświęconej dziejową tradycją, znajdują się magnackie pałace; jak Eszterhazych w Kis-Marton, rojący się od świetnych zbiorów i wspaniałej księżnicy, jak zamek Eszterhazych-Frahno i Léka ze zbrojowniami i muzeami, w których znajdują się szaty koronacyjne Sobieskiego. Młody hr. Paweł w obawie dostania się tych skarbów wręce austriackie, przeniósł je do Eszterhazy A te cudne posiadłości Szalónak hrabiów Bathyanich, Nemetujvár i Borostyankö, pochodzący z czasów Arpadów. Wszystkie te warowne siedziby broniły niegdyś Węgry od strony Austrii i dlatego nazwano sam kraj Burgenlandem, ojczyzną grodów-kastellów. Z tej ziemi pochodził „największy Węgler“, Stefan Szechenyi, jeden z podstawowych filarów odrodzenia ojczyzny pod względem gospodarczym, społecznym i politycznym. Jego mogiła w Cenik, otaczana narodowym pietyzmem, ma dostać się pod rządy Wiednia. Ból i gorycz, ogarniają ludność na myśl, — że chcą ją rzucić w ramiona obcego zwierzchnictwa i odłączyć od macierzy, stojącej znacznie wyżej ekonomicznie. Wzdraga się ona na myśl przymusowej zmiany poddaństwa i ironizuje, że z „Burgenlandu“ dostanie się do „Hungerlandu“.. Zarówno niemiecka większość, jak Kroatci również są przeciwnikami wypróbowania na ich skórze uchwał w Trianon i już niejednokrotnie podkreślili wyraźnie swoje uczucia.

Wobec podobnej rzeczywistości, — czemuże wytlómaczyć postanowienie?

Podobno ma to być kompensata na rzecz Austrii za stracone części Tyrolu i pewien rodzaj spichlerza dla głodującej, obkrojonej Austrii i hamulec zniechęcający ją do zlania się z Niemcami.

Jednakże inicjatywy, przewodniej myśli i społeczników zamierzona szukać należy w Czechach, w Beneszu, który już w 1916 r. domagał się zachodnich krawędzi Węgier, jako kurytarza do Jugosławji, a działał w porozumieniu i z poparciem dyplomacji carskiej Rosji, chcącej w ten sposób wyłobić sobie drogę do Adriatyku.

W broszurze „Detruisez l'Autriche-Hongrie“ (Paris 1916) pisze dzisiejszy czeski minister spraw zagranicznych: „Austro-Węgry powinny być rozbrane. Na ruinach habsburskiej monarchji należy wzniesić państwo czesko-słowackie, obejmujące Czechy, Morawję, Śląsk, Słowację. Od północy graniczyłoby ono z *autonomiczną* Polską,

od zachodu, w Karpatach, z Rosją. Kraje te wraz z niepodległymi Czechami utworzyłyby nieprze-partą barjerę przeciw Niemcom. Od południa wielka Serbia, złożona z terytoriów kroacko-słoweńsko-serbskich, połączona z czeską ziemią kurytarzem między Litawą a Raabą w Węgrzech, byłaby krańcowym pierścieniem, otaczającym Niemcy. Włochy uczyniłyby Słowianom pomocy, celem ostatecznego odcięcia Austrii i Włoch od Adriatyku Transylwanja wróci do Rumunii, a Węgry niezawisłe pozostaną tylko przy przestrzeniach wyłącznie madziarskich. W ten sposób ziszczy się zasada narodowościowa i to w wielkich, przewodnich liniach i uwzględnienie konieczności politycznych oraz strategicznych“.

Otóż, jak na dłoni, koncepcja rosyjsko-czesko-jugosłowiańskiego kurytarza.

Ideę propagował Benesz w gazetach francuskich. Między innymi pisał: „Ważnem jest, aby koalicja i Czechy uzyskały połączenie w postaci linii Preszburg i Tryjest i to przez zajęcie części Węgier, w których żywioł madziarski i niemiecki stykają się z sobą. W ten sposób Węgry i Niemcy zostaliby odcięci od siebie, a wówczas zostaną warunki rozejmu tem łatwiej względem nich zastosowane. Natomiast przez stworzenie kontaktu między Czechami i południowymi Słowianami uzyskalaby Ententa bezpośredni kontrakt z Czechami“.

Na lep wywodów poszedł publicysta francuski, Charles Rivet, który w swojej książce (*Chez les Slaves libérés. Le Tcheco-Slovaques. Paris 1921*) obstaje za uzupełnieniem dzieła wskrzeszenia królestwa Św. Wacława i Jugosławji, połączenia ich obszarów z pomocą kurytarza, wyciągniętego na dawnej granicy między Węgrami a Austrią. Również, niedawno zmarły, szerokiego rozgłosu historyk, Ernest Denis, silnie popularyzował pomysły Benesza. Ten, w 1916 r., domagał się urzeczywistnienia swojej koncepcji, aby umożliwić zbliżenie się Czech do Jugosławji, a w dwa lata potem, po upadku Węgier i Austrii, zmienił argumentację i jako główny walor przeprowadzania kurytarza wysunął niezbędność odcięcia Węgrów od Niemców. (Wtedy nie było jeszcze mowy o oddaniu kurytarza Austrii, dopiero potem gdy Włochy nie chciały się zgodzić, aby został słowiańskim).

Benesz miał jeszcze inne cele na oku: pragnął rzucić kość niezgody między Austrię i Węgry, aby z wzajemnej kłótni wydobyć dla Czech największe korzyści. Czechy bowiem umiałyby zdobyć sobie przyjaźń Austrii, skłóconej na śmierć i życie z węgierskim sąsiadem, i zabezpieczyć sobie drogę do Adriatyku...

Dziwne jest zachowanie się Włochów w tym zatargu. Z jednej strony nie życzą sobie kurytarza czesko-jugosłowiańskiego, gdyż byłoby to wzmocnieniem południowych Słowian, a z drugiej, aczkolwiek interesem ich jest spotężnienie Węgier—stoją w tym wypadku po stronie Austrii, albowiem z obawy przed Habsburgami chcą klin wbić między Węgrami i Austrią, aby uniemożliwić dobry stosunek Węgier z Austrią. Jak wiadomo, Włochy chętniejby widzieli nawet połączenie Austrii z Niemcami niż z Węgrami.

Protestując więc przeciw obsadzeniu tej węgierskiej ziemi przez Czechów lub Serbów.

równocześnie domagają się Włochy, aby dostały mandat do obsadzenia spornego terytorjum.

Koalicja, przedewszystkiem zaś Francja, znalazła się w omawianej sprawie w nader ciężkiem położeniu. Nie może ona dopuścić do zachwiania a nawet złamania zarządzeń traktatu, nie pragnie także dopuścić do zbrojnej interwencji „Małej Ententy“, której polityka nie zawsze pokrywa się z racją stanu nad Sekwaną.

Oczywiście oddanie „Burgenlandu“ nie będzie żelazną przegrodą wstrzymującą Austrię od wsiąknięcia w Niemcy. Głosowanie w Tyrolu i w Salzburgu rozwiła wszelkie wątpliwości Wiedeń czeka tylko na wcielenie komitatów węgierskich, poczem przymknie do Berlina. Oddanie zachodnich Węgier spowoduje wzmocnienie germanizmu.

Czy fakt podobny sprzyja interesom Austrii lub Polski?

Zamiast uniezależnić Węgry od Austrii i Niemiec, zmusi się je do rokowań z pierwszą, a jeszcze prawdopodobniej z Rzeszą, i zapłaty za odzyskanie cennych terytoriów w formie politycznego i gospodarczego sojuszu! A, jeżeli tak stanie się, sięgną Niemcy jeszcze dalej na wschód, posuną się jeszcze o 50 kilometrów ku Budapesztowi pasem 150-cio kilometrowym dzięki poparciu koalicji! Z tej części tworzą sobie nowy *Ostmark*. Głośny Stinnes już pracuje w Szopron, kupuje gazety i drukarnie dla odbijania plism agitacyjnych wszechniemieckich.

Adorjan Divéky.

Anglja i Ameryka.

Sprawa stosunku Anglii i Ameryki jest ściśle związana z kwestją imperjalizmu brytyjskiego i razem z nią tworzy centralny węzeł polityki światowej. Ameryka może w najbliższym czasie wystąpić jako współzawodnik Wielkiej Brytanji lub też jako wspólnik pod hasłem światowej hegemonji anglosaskiej.

Anglja dokłada wszelkich usiłowań, aby ich zaatlantyccy krewniacy wybrali drugą alternatywę. Jest w tem pewna ironia losu, iż w chwili zwycięstwa, w kulminacyjnym punkcie swego władania, Anglja znalazła się oko w oko z potęgą, która jeżeli nie będzie jej ścisłym przyjacielem, stanie się niezawodnie przeciwnikiem o wiele groźniejszym od wszystkich dotychczasowych wrogów Wielkiej Brytanji.

Ani Francja Ludwika XIV i Napoleon, ani Rosja, ani cesarskie Niemcy nie miały przeciw Anglii tak licznych i potężnych atutów, jak dzisiejsze Stany Zjednoczone. Mogą one podjąć walkę z Anglią na właściwym żywiole jej potęgi, gdyż już doganiają jej flotę i mają wszelkie dane, aby ją w danym razie nawet prześcignąć. Ale przy równości sił marynarskich szanse obu walczących stron byłyby w walce morskiej bardzo nierówne. Anglii każda przegrana morska zagraża przecięciem dróg komunikacyjnych oraz awariacją i bezpośrednią katastrofą. Tymczasem dla Stanów Zjednoczonych nawet zupełna klęska ich floty jeszcze nie pociągnęłaby druzgoczących

skutków. Dla Stanów Zjednoczonych, mogących czerpać środki i zasoby z całego ładu amerykańskiego, blokada nieprzyjacielska, gdyby nawet dała się skutecznie, nie byłaby zbyt groźna.

W przypuszczeniu zdaje się najbardziej prawdopodobnym, iż w walce morskiej żadna ze stron nie odniosłaby stanowczego zwycięstwa, można stanowczo utrzymywać, że flota amerykańska utrudni aprowizację i handel angielski nieporównanie skuteczniej, niż wypadnie to ze strony odwrotnej. A więc na dłuższą metę zapewnia to przewagę Ameryce.

Zresztą na szalę jej położyć należy fakt coraz widoczniejszy a niezmierniej doniosłości, że Anglja w razie konfliktu z Ameryką nie może liczyć na współudział dominjów. Ich odmowa byłaby bezpośrednią ruiną światowego imperjum brytańskiego, oraz zapowiedzią niechybnej przegranej dla Anglii, pozostawionej jej własnym siłom i zasobom. Jak wiadomo, dominia na ostatnim zjeździe imperjalnym dość widocznie zaznaczyły swe stanowisko i ścisłą łączność polityki angielskiej i amerykańskiej podniosły aż do dogmatu.

Niech czytelnik nie posądzi nas czasem o tanie wróżbiarstwo na temat blizkiego upadku Anglii i wypływających stąd następstw. Nie chodziło nam o przepowiadanie wojny pomiędzy Anglią a Ameryką i ewentualnego zwycięstwa tej ostatniej lecz o podkreślenie faktu, że imperjalizm brytański nie może się rozwijać wbrew i przeciw Ameryce, że jest on na mocy sytuacji politycznej i psychologicznej raczej czynnikiem ścisłego związku niemal naturalnego przymierza z wielką zaatlantycką republiką.

Nie inaczej też zapatrywali się na tę sprawę starzy imperjaliści jeszcze z przed lat dwudziestu. Józef Chamberlain, najwybitniejszy wówczas pionier imperjalizmu, był też zdecydowanym zwolennikiem sojuszu z Ameryką. Głośny Cecil Rhodes cały swój wielki majątek zapisał na stypendja dla młodzieńców z kolonii, kształcących się na uniwersytetach angielskich. Młodzież ta miała zostać żywym łącznikiem Anglii z koloniami, węzłem ich organicznego zespolenia. Otóż testament Rhodesa dopuścił Amerykanów narówni z obywatelami kolonii do korzystania z owych imperjalistycznych stypendjów.

Ameryka jest pierwotną kolonialną córką Anglii i pod względem kulturalnym i językowym pozostała nią, pomimo zerwania jedności państwowej. Stawiając hasło zjednoczenia świata anglosaskiego, imperjalizm nie może pomijać i Ameryki. Nie może być oczywiście mowy o włączeniu jej do imperjum, o zrobieniu z niej jednego z wielkich dominjów korony brytańskiej. Nasuwa się raczej pytanie, czy w dzisiejszym układzie stosunków nie byłoby właściwiej przenieść prawa metropolii oraz środek ciężkości imperjum z Anglii do Stanów Zjednoczonych.

Wszakże pytanie to jest narazie zgola przedczesne. Skoro Anglia nie wyszukała jeszcze określonej formy dla związku z własnymi dominiami, tem mniej ma potrzeby ujmowania w ścisłą formułę swych stosunków z Ameryką. I tu i tam formy narazie brak i nie łatwo ją znaleźć, lecz istnieje treść, która się rozszerza i stanowi poniekąd gwarancję, że we właściwej chwili i forma się znajdzie.

Z angielskiego punktu widzenia ożywienie związku z dominiami i przyjaźń z Ameryką stanowią pewną całość systemu imperjalistycznego. Spoczywa on na założeniu, że Ameryka szczerze akceptuje ów system, wita z zadowoleniem jego sukcesy, że zgadza się na to, aby Wielka Brytania, wzmocniona ścisłym związkiem z koloniami była pierwszym mocarstwem świata i odegrywała w polityce ogólnej odpowiednią rolę.

Założenie to ma istotnie za sobą znaczne prawdopodobieństwo, niemniej jednak nastrocza pewne wątpliwości. Wprawdzie w obecnym położeniu Stany Zjednoczone mają bardzo korzystną pozycję i przez dominia mogą w danym razie wywierać skuteczny wpływ na politykę brytańską, któż jednak zareczy, że na tem zechcą poprzestać. Wszak jest widocznym, że mogą one w najbliższej przyszłości sięgnąć po hegemonię nad całą rasą anglo-saską i pokusić się o strącenie „Zjednoczonego Królestwa“, i jego uprzywilejowanego stanowiska. Opinia angielska z wielkiem zajęciem, lecz także z pewnym niepokojem oczekuje konferencji waszyngtońskiej, która ma się zebrać za dwa miesiące. Na konferencji tej ma się odsłonić istotne oblicze najnowszej polityki amerykańskiej, jej stosunek do Wielkiej Brytanii i jej imperjalizmu. Czy Ameryka zechce uwzględnić trudności i interesy angielskie w Azji i wynikającą z nich potrzebę sojuszu z Japonią, czy też wbrew nim postawi swe wymagania, które będą ciężkiem brzemieniem dla polityki angielskiej.

Wybuch jawnego zatargu pomiędzy obiema wielkimi potęgami tem mniej jest prawdopodobny, że w grę wchodzi dominia, które w danym razie byłyby naturalnymi pośrednikami i bez których poparcia Anglja nie zdecyduje się na zaostrzenie sporu. Nie należy zapominać, że interesy i spory angielsko-amerykańskie w obliczu młodych państw dominialnych mają poniekąd charakter domowych spraw rasy anglo-saskiej, na które zawsze się znajdują środki kompromisowe.

T. G.

Ceny a Waluta.

Nowy spadek marki w porównaniu do walut zagranicznych zbiegł się z podwyżką cen w Poznaniu, z podniesieniem taryf kolejowych i pocztowych, oraz z wiadomościami, że wywóz zboża do Rosji wpłynię jeszcze bardziej na podniesienie cen chleba u nas. Ceny te zresztą również już naprzód podskoczyły. Wbrew twierdzeniom naszych ekonomistów można przytoczyć wiele przykładów z czasów wojny i po niej, gdy waluta była i jest w państwach sąsiednich utrzymywana na pewnej wysokości, głównie dzięki „sztucznym“ zarządzeniom zapobiegającym bezgranicznemu podnoszeniu się cen na chleb i produkty pierwszej potrzeby, oraz powstrzymaniu wywozu pieniędzy. Jednak u nas wymienieni ekonomiści twierdzą, wbrew oczywistości, że to ceny rosną wskutek spadku waluty, co może być prawdą tylko wtedy, gdy w grę wchodzi znaczny import bez eksportu. Najczęściej zaś skutek i przyczyna zmieniają rolę

kolejno bezustanku. Nasz minister skarbu wyraził jakieś tajemne nadzieje, że waluta się podniesie bez naszego udziału, że więc obcy finansisci zechcą wreszcie cenić naszą markę więcej, niż my ją cenimy sami na rynku wewnętrznym! Nadzieje te były i są oczywiście złudne, gdyż nikt nam podarków czynić nie będzie i marka w stosunku do walut zagranicznych nie może podnieść się ponad jej stosunkową siłę zakupną w kraju. Waluty bowiem nie posiadające oparcia w kruszcu (który ma w stosunku do towarów pewną wartość międzynarodową, mają jedynie narodowy miernik wartości, który wyraża się w cenach towarów w danym kraju, U nas sejm nie określił wartości marki, jedynym więc jej miernikiem są tem bardziej ceny towarów. Zagraniczna ocena takiej waluty może spaść nawet poniżej jej wartości wewnątrz kraju, bo giełda eskontuje przyszłość, t. j. tendencje niżkowe, lub zwykłe wewnętrznej wartości waluty, oraz siłę produkcyjną kraju. U nas tendencja jest ciągle niżkowa: ceny rosną z dnia na dzień, a niekiedy z godziny na godzinę. Za niektóre towary, jak np. za mieszkanie, płaci się w postaci odstępnego, ceny nie słyszane zupełnie gdzie indziej. Mimo to ruch budowlany jest zatamowany i wogóle nasze perspektywy na produkcję są złe, gdyż nie możemy sprowadzać koniecznych maszyn i surowców, robotnik jest wprost zmuszony do strejków przez ciągły wzrost cen, a kredyt jest niesłychanie drogi. Poza tem nie możemy czy nie umiemy eksploatować nawet tych naturalnych a wielkich bogactw, które posiadamy n. p. w lasach, a których eksploatacja jest stosunkowo łatwą.

Krążą już legendy o karygodnej niemal niezaradności, wykazanej przez czynniki biurokratyczne przy eksploatacji lasów państwowych, która często zamienia się w psucie materiału, albo w jego marnowanie za bezcen. Dlatego należy przyjąć z uznaniem wiadomość że Puszczę Białowieską mają eksploatować amerykanie. Lepsze to, niż marnowanie. W przemyśle żelaznym dzieje się również źle; pomimo znacznych potrzeb kraju i rządu produkcja tego przemysłu wynosi około 25 proc. przedwojennej wytwórczości Królestwa Polskiego. Cóż dziwnego, że Anglicy, nabywszy pewne prawa do eksploatacji części Śląska, boją się go eksploatować pod polskimi rządami.

Czy możliwym jest jaki eksport z kraju, gdzie ceny w ciągu doby skaczą o 50 proc.? I czy możliwą jest produkcja dla rynku wewnętrznego, gdy przedział między cenami a możliwością zakupową jest coraz większy? Nawet w rolnictwie postęp jest utrudniony wskutek niemożności przywozu koniecznych maszyn i nawozów. Zresztą według wszelkiego prawdopodobieństwa naszą produkcję rolną w najbliższych latach będziemy zjadać sami. Dla wytworzenia więc jakiegoś możliwego modus vivendi z innymi krajami, musimy wywozić co innego, a więc produkować, więc zniżyć ceny i ustalić wartość wewnętrzną waluty. Obecny wzrost cen powoduje konieczność druku nowych znaków pieniężnych, gdyż mimo tak zwanej „inflacji” pieniędzy w kraju nie wystarcza i kredyt jest niesłychanie drogi, bo eskontuje już naprzód spadek wartości pieniądza. Wskutek druku nowych znaków stosunek produkcji do długu zaciągniętego na nią a upostaciowanego w masie pieniędzy jest coraz gorszy, i musi powodować dalszy spa-

dek waluty i tak bez końca. W tych warunkach bajanie o cudzie nad Wisłą, którego mamy dokonać w dziedzinie finansowej, jest tylko mydleniem oczu.

Nasze położenie finansowe, jako państwa, jest obecnie gorsze, niż było w Austrii przed upadkiem. Nigdzie w normalnie rządzonych państwach ceny nie doszły do tak potwornej wysokości, a deprecjacja waluty jest tu raczej skutkiem niż przyczyną i można wykazać na przykładach, że przeciętne cen odpowiadają stosunkowi walut. Rząd więc obok środków, zmierzających do wydobycia pieniędzy z ukrycia i zrównoważenia budżetu, musi znaleźć środki obniżenia cen żywności przede wszystkim, a to można łatwo wykonać przez wynagrodzenie miastom, kooperatywom, i zrzeszeniom zawodowym strat wynikłych ze sprzedaży produktów spożywczych poniżej własnych kosztów, oraz przez otworzenie jadłodajni publicznych. Straty stąd wynikłe dla rządu będą prawdopodobnie mniejsze, niż koszty ciągłego podnoszenia plac funkcjonariuszy państwowych. Ponadto będą one powetowane łatwo przez wzmożenie produkcji przemysłowej i zyski z eksportu. Eksploatacja i eksport bogactw leśnych, o której wspominał p. minister skarbu, może również natychmiastowo wpłynąć na poprawę waluty. W tym względzie nie powinno być miejsca na obawy, że drzewa nie wystarczą na odbudowę. Nawet najbardziej chłop woli już dziś budować z cegły, ale trzeba mu tej cegły dostarczyć i trzeba umożliwić jej produkcję. Zresztą dość drzewa na odbudowę dostarczyć mogą lasy miejscowe. Dziś to drzewo marnuje się w wielkiej ilości wskutek niezorganizowanego rozdziału i wskutek tego, że materiał dostarczony jest często nieodpowiedni. Miałem niedawno możność przekonać się o tem naocznie.

Ponadto należy ustalić wartość marki i odpowiedzialność państwa za nią, zapobiegać jej wywozowi za granicę, a w tym celu zmniejszyć też wydatki na nasze placówki zagraniczne.

Przeprowadzenia tego programu muszą żądać stronnictwa mieszczańskie i robotnicze.

Sądzę, że na tej platformie mogą one współdziałać ze sobą. Bez obniżenia cen i ożywienia produkcji nawet równowaga budżetowa państwa nie zapobiegnie spadkowi marki. W takiej chwili mianowanie rządu nie posiadającego wyraźnego programu finansowego jest klęską.

Zygmunt Łada.

Polska a Sowiety.

Ostatnia wymiana not między Polską a Sowietai świadczy o tem, że stosunki dyplomatyczne między Rzeczpospolitą Polską a R. S. F. R. S. są bardzo naprężone, i w chwili, gdy te słowa piszemy, nie wiemy jeszcze, jaki obrót sprawy wezmą i czy skończy się ta wymiana not odwołaniem poselstwa Polskiego z Moskwy i zerwaniem stosunków dyplomatycznych, czy też ich polepszeniem.

Jeden z kierowników polityki zagranicznej sowietów Karol Radek z powodu głosów prasy

polskiej, domagających się zerwania stosunków dyplomatycznych z Sowietami pisał w „Prawdzie” moskiewskiej:

„Polskie pogroźki nie straszą nawet kur w Moskwie. Bezradna wobec olbrzymiej fali strajkowej Polska tyle może wojować, co paralityk tańczyć. Wie to dobrze prasa polska, to też mówi nie o wojnie, a tylko o zerwaniu stosunków dyplomatycznych. Zerwanie zaś stosunków bez wojny było by ciosem dla Rosji Sowieckiej w tym tylko razie, gdyby polski rynek był niezbędnym dla Rosji. Polski rynek niema żadnej szczególniejszej wartości dla nas... Dla Polski zaś wszelki zatarg z Rosją nawet tylko dyplomatyczny jest brzemienny w groźne następstwa“... („Prawda” 10 września).

Tak się przechwala dyplomata sowiecki, zapomniawszy nawet o tem, że w Moskwie dawno już kur niema, a więc lepiej było by o kurach nie wspominać. Co się zaś tyczy uczuć i zamierzeń już nie kur moskiewskich, a pp. bolszewików, to przecież jawna dyplomacja sowiecka prześcignęła wszystkie dawne tajne dyplomacie w stosowaniu maksy, która głosi, że do tego język służy, aby ukrywać myśli. Jeżeli zatem nie wierzymy bardzo zapewnieniom bolszewickim o ich chęciach pokojowych i uważamy, że Polska przy wszelkich traktatach z Sowietami powinna być w każdej chwili gotową do odparcia najazdu bolszewickiego, to z drugiej strony alarmy wojskowe bolszewików bynajmniej nie utwierdzają nas w myśli, że bolszewicy właśnie teraz chcą i mogą Polskę zaatakować.

Więc przechwałki Radka i groźby Trockiego, który pisze w „Prawdzie”, że „raz trzeba wreszcie skończyć z nielojalnością Polski”, którą Francja pcha do wojny z Rosją, i niemożliwe żądania Cziczerina, który w ostatniej nocy swej domaga się udziału przedstawiciela rosyjskiego w Warszawie w badaniu dokumentów dla ustalenia winy członków armii polskiej, — wszystko to jeszcze nie świadczą o tem, że Sowiety rzeczywiście zamyślają wojnę z Polską, wszystko to może być tylko planowym alarmem obliczonym na to, aby korzystając z ciężkiego położenia Polski zastraszyć ją i zrobić więcej ustępliwą w sprawach, związanych z wykonaniem Traktatu Ryskiego, z którego bolszewicy najwyraźniej drwłą.

Czytelnicy nasi wiedzą dobrze, że wobec traktatu tego zawsze zajmowaliśmy stanowisko krytyczne i nie żywiłmy żadnych co do niego złudzeń. Niejednokrotnie na łamach „Tygodnia” twierdziłszy wbrew opinii większości organów prasy polskiej to, co teraz pisze o „Traktacie Ryskim” „Przymierz” (N 35):

„Fikcją w nim jest wszystko, począwszy od prawomocności kontrahentów—rządów sowieckich Rosji i Ukrainy, nieuznanych przez nikogo, a przede wszystkim przez reprezentowane przez nie narody—aż do dobrej woli ze strony tych kontrahentów dotrzymania zawieranej umowy. Ta fikcja widoczna była już wówczas, w trakcie rokowań; obecnie potwierdzają ją fakty. Rząd polski obowiązany jest do dotrzymania traktatu, niezależnie od tego, z kim go zawarł, społeczeństwo jednak polskie nie tylko nie ma obowiązku, ale nawet niema i prawa poddawać się złudzeniom, że to, co się traktatem ryskim nazywa, stanowi istotną

podwalną pokoju, na którego dotrzymaniu [ze strony przeciwnej] polegać można. Rząd polski zdaje sobie sprawę dokładnie z charakteru zawartego z bolszewikami pokoju, jakkolwiek jego warunków ściśle przestrzega, trzeba jednak, aby i w społeczeństwie co do charakteru tego pokoju nie było szkodliwych złudzeń, usypiających czujność.“

Przed tymi złudzeniami stale ostrzegaliśmy, nie wleźliśmy w żadne zyski dla Polski, jakoby wypływające z Traktatu Ryskiego, właśnie dlatego, że wszystko w niem jest fikcją. Uważaliśmy za jedyną rzecz, którą Polska może i powinna zrobić, korzystając ze stanu pokoju z Rosją Sowiecką, to wydobycie z niej naszych nieszczęśliwych rodaków.

Ale tę sprawę właśnie Traktat Ryski zaprzepścił, nie uznając Polaków, znajdujących się na terytorjum Rosji za obywateli polskich, a żądając od nich dopiero opcji na korzyść Państwa Polskiego, pozbawiając więc w obecnym momencie Polaków w Rosji opieki i obrony Państwa Polskiego*).

Kto zdawał sobie jasno sprawę z „dobrej woli” Sowietów, potrzebnej do wykonania Traktatu i w sprawie repatriacji uchodźców i w sprawie reewakuacji mienia polskiego, dla tego nie mógł być niespodzianką fatalny obrót, jaki te sprawy wzięły.

Słyszymy zewsząd skargi na nasze komisje repartycyjne w Rosji, opinja oburza się na to, że śród jadących z Rosji do Polski, polacy stanowią nieznaczny odsetek. Być może w tych skargach jest dużo słusznego, być może, że nasze delegacje repatriacyjne nie znalazły się na wysokości zadania. Ale trzeba powiedzieć otwarcie, że i największa energia i sprawność nie wiele mogą osiągnąć tam, gdzie się jest zależnym od „dobrej woli” Sowietów, bo ta dobra wola jest największą fikcją. A ponieważ bez dobrej woli kontrahenta żaden traktat nie może być wykonany, więc i Traktat Ryski zgóry był skazany na fiasco. Możliwość pokojowego współżycia z bolszewikami na podstawie jakichś traktatów, jest fikcją, w którą mogli wierzyć tylko ci, kto wbrew oczywistej prawdzie chciał w to wierzyć.

Zapewne czasem i z bandytami wchodzi się w układy, ale to może mieć sens wówczas tylko, gdy chodzi o natychmiastowe wykonanie jakiegoś ściśle określonego warunku pod bezpośrednią groźbą lub na zasadzie *do ut des* spełnianego. Taki układ mógł być zawarty i z bolszewikami wówczas, gdy im bardzo chodziło o zawieszenie broni na polskim froncie. Ale było oczywiście, że to, czego natychmiast wówczas pod presją nie wykonają, to już wykonaniem nie będzie, jeżeli naturalnie, nie leży to w ich własnym interesie.

Otóż ponieważ wobec głodu w Rosji, pozbycie się uchodźców leży we własnym interesie Sowietów, więc sprawa repatriacji naszych rodaków mogła by i teraz być przedmiotem rzeczowego i wykonanego układu.

Co się zaś tyczy innych wygód z Traktatu Ryskiego płynących to już są rzeczy, należące do dziedziny fikcji a nie realności.

*) Ob. Al. Lednickiego „Uwagi o Traktacie Ryskim” w numerach 16 i 17 „Tygodnia Polskiego”.

Cel osiągnięty.

(Ze zjazdu lekarskiego francusko-po'lskiego)

Wszystkie pisma codzienne wydały już opis i sąd o polsko-francuskim zjeździe lekarskim, który zaczął się w Poznaniu 12 września, miał miejsce w Warszawie od 14-go do 18-go włącznie, w Krakowie od 19-go do 22-go, a zakończył się we Lwowie 26-go.

Był to pierwszy francusko-polski zjazd inteligencji. Samych Francuzów przyjechało sto kilkanaście osób z Paryża, Lugdunu, Marsylji, Lille, Tuluzi, Strasburga, Angers. Byli przedstawiciele Akademii francuskiej (lekarskiej), ministerstw higieny, oświaty i wojny, Towarzystwa lekarzy szpitalnych, Ogólnego Stowarzyszenia francuskich lekarzy, Związku syndykatów lekarskich i t. p. Polaków zapisało się dwustu kilkudziesięciu z Warszawy, Krakowa, Lwowa, Poznania, Częstochowy, Zakopanego, Pabianic i t. p.

Zdawałoby się, że wobec tak niezwykłego i tak licznego zjazdu sprawozdawcy pism zadadzą sobie nieco trudu i zechcą zapoznać się u źródła z zadaniem i celem zjazdu. Tymczasem każdy z nich pisał sprawozdanie przy swem redakcyjnym biurku na mocy programu, opowiadał trzecich osób i swych partyjnych upodobań. Jeden zachwycał się zjazdem, gdy widział w programie wydrukowane nazwisko pana hrabiego X. i pani baronowej Z, a słyszał, iż przemówił w dzień otwarcia zjazdowi ksiądz Y. Drugi nazwał kongres semickim, gdyż duży procent Francuzów był jakoby pochodzenia semickiego, tak przynajmniej twierdził słynny karykaturzysta warszawski. Inny uważał, iż trzeba być bardzo ostrożnym w ocenie zjazdu, Warszawa bowiem miała bojkotować lekarzy mojżeszowego wyznania. Inny wreszcie pisał, że Polacy kąpali Francuzów w wódce i zachwytach, nosili ich na rękach. Byli i tacy, co chcieli wykorzystać zjazd dla swych celów partyjnych, a przede wszystkim skompromitować... Naczelnika Państwa, przypisując mu słowa, których nie mówił, podając zachwyty delegatów za zdziwienie i mieszaninę. Nałwny czytelnik gazet warszawskich wnioskuje, że zjazd lekarski francusko-polski nie miał żadnego głębszego znaczenia, przeszedł bez wrażenia, nie pozostawił żadnego śladu,—ot były to sobie zwyczajne odwiedziny francuskich kolegów po skalpeli, aby wesoło pogawędzić, iść na „Twardowskiego“, najeść się polskich ciastek, napić się polskiej śliwownicy.

A jednak ten pierwszy zjazd inteligencji francusko-polskiej zasługiwał na inną, sumienniejszą, głębszą ocenę.

Samo zorganizowanie zjazdu w Warszawie inne cechy nosiło, niż zwykle. Nie urządziło go żadne stronnictwo polityczne, żadne oddzielne stowarzyszenie lekarzy wojujące z drugim, ale gro- no polskich medyków sympatyzujących z kulturą i z lekarską szkołą francuską. Wielu partyjników dotychczas uwierzyć nie chce, że organizatorzy nie posyłali oddzielnych zaproszeń ani do stowarzyszeń, ani do posłów, ani dygnitarzy że ograniczyli się ogłoszeniem w pismach.

Nieco dziwiła wprawdzie na programie i na samym zjeździe obecność hrabiów, margrabiów, nie mających nic wspólnego ani z medycyną polską ani francuską, ale to ustępstwo uczyniono jakoby tutejszym Francuzom, którzy chcieli mieć zapewniony „comité de réception“ dla 20 dam przyjezdnych z Francji.

Do zjazdu przygotowywano się przeszło 15 miesięcy. Wciąż sobie powtarzano, wciąż pisano do Paryża, że idzie z jednej strony o zapoznanie się z metodami, teorjami, nauką francuską, a z drugiej o pokazanie najbliższym nam aljantom naszej Polski, naszych instytucji, które pomimo spadku marki nie każą nam się czerwienić. Zrozumiano, że trzeba działać wolno, oględnie, że warto nieraz i formalistykę i biurokrację przekroczyć, byleby dopiąć celu—położyć kamień węgielny, który stałby się podstawą spójni francusko-polskiej w dziedzinie medycyny. Należało przedewszystkiem u nas w Polsce, wychowanej na metodach i teorjach niemieckich, rozbudzić w starych i młodych ochotę, gorącą chęć i zapal do nauki—medycyny francuskiej, a we Francji namówić i przekonać koryfeuszów wiedzy przynieść nam ich pochodnię, ale jak równi do równych.

Jasnym więc jest, że organizatorzy mieli wyraźnie cel wytknięty, myśl przewodnią skryształowaną. I dlatego nieraz w czasie zjazdu pozostawiali odłogiem albo na drugim planie odczyty, zwiedzanie zamku, domu Baryczków, Fukiera, co dla niektórych warszawiaków może się wydawać brakiem patriotyzmu, crimen.

Z szeregu odczytów, dyskusji, rozmów polscy lekarze poznali geniusz francuski — nadzwyczajną łatwość zwięzłego, zrozumiałego przedstawienia najtrudniejszych kwestji, najcięższych napozór teorji. Mogli sami porównać talent wykładu, metodę rozumowania Francuzów i Niemców. Zapalali chęcią czempredzej wziąć się do łomaczenia podręczników lekarskich, których tak wielki brak odczuwają polscy akademicy. Posypały się obfite składki, polsko-francuskie towarzystwo lekarskie w Warszawie ofiarowało także sporą sumę. Oby tylko zimni rozważni polscy mędracy i półmędracy nie ugasili swym sceptycyzmem wznieconego ognia! Uznanie wielkiego talentu i zmysłu pedagogicznego w Francuzach nie oślepiło Polaków, nie przytłumiło ich dumy narodowej. Za punkt honoru sobie wzięli pokazać instytucje, które zaszczyt i chlubę polskiemu imieniu przynoszą. Zwiedził sumiennie Francuzi szpital Dzieciątka Jezus, szpital Karola i Marii, który w zachwyty wprowadzał francuskich pedjatrów, kasę chorych z szpitalem, aptekę, laboratorium, filtry, zakład dezynfekcyjny, zakład do palenia śmieci i t. d. Przyjemnie zdziwieni zostali Francuzi, ani przypuszczali, ażeby w Polsce mogli czegoś się nauczyć, wzory i plany zbierać.

A gdy zobaczyli Kraków, Wieliczkę, Tatry—Zakopane, Lwów i Borysław, ściskając ręce na pożegnanie polskim lekarzom serdecznie dziękowali za ich gościnność, szczerze wieszowali, że Polska jest krajem tak pięknym a naród tak żywotnym.

J. Z.

Dla syna Adama Mickiewicza.

Od czasu do czasu rozlegają się na łamach naszej prasy ponure głosy na temat zatruwającego losu pracowników ducha i ich przodujących kierowników. To wielki przyrodnik zamiera głodem ubiegłej zimy i nie miał przyczem ogrzać się, jednego z najświetniejszych parnasistów musi ratować Ministerstwo sztuki i kultury przed nielitościwie zbliżającą się nędzą, to głośny pisarz, świetna rasowa postać, goni resztkami i patrzy w otchłań ponurej przyszłości. Wstrząs nieubłagany opanowuje twórców, badaczy i strąca ich między sprychy kół, pędzących do zatury. Szarpnięta zębem wojny umysłowość, najlepszy mięsz narodowego życia, idzie na spód istnienia, zamiera w kleszczach bezwzględnej zmaterializowania się tłumów, łaknących tylko żołądkowych rozkoszy, pożądających użycia i nadużycia, z odrzuceniem wszelkich szlachetniejszych porywów. Pokłosie zniszczonych sił intelektu ludzkiego może wydać najokropniejsze wyniki i cofnąć o całe wieki naszą cywilizację, nasz zdobyty dorobek w chwilach porozbiorowych. Jeżeli historycy szkoły krakowskiej z Szujskim i Bobrzyńskim na czele uważali naszą młodszość cywilizacyjną i spóźnianie się na polu umysłowej produkcji za jedną z ważniejszych przyczyn upadku karju,—to powracanie do zaśnieżonego i bolesnego błędu, poddawanie się prądowi czasu i nieodróżnianie stanowcze rozkładu, wyrządzą polskiej państwowości, polityce i sferze międzynarodowych odniesień nieobliczalne szkody i zmusi następne pokolenia do doganiania i wyrównywania zaniedbań, do pośpiechu kosztem jakości i wartości dokonanego dzieła. Bo społeczeństwo musi raz uznać, że literatura, wiedza i sztuka nie są zbytkiem, nie są piękną emalją na kryształowym kielichu życia, ale konieczną zawartością wsączonego weń płynu, nie są tylko kwiatem, zdobiącym rabat w ogrodzie, lecz plodem niezbędnym ziemi i bez nich nie będzie ani przemysłu, ani handlu, ani żadnych objawów naprawdę mocnego i celowego bytu.

Dla zobrazowania położenia wystarczy przytoczyć wiadomości, podane przez *Czas* i inne piśma krakowskie, o losach jedynej, bezpośredniej płonki wieszczki Adama. Władysław Mickiewicz zachorował w połowie lipca na dokuczliwy reumatyzm i tylko dzięki zabiegom sędziwej małżonki i córki wraca bardzo powoli do zdrowia i wie się znowu do pracy w Bibliotece Polskiej przy Quai d'Orleans, gdzie działa od szeregu lat jako delegat Akademii umiejętności i dyrektor Muzeum Mickiewiczowskiego.

„Wzrastająca, jak wszędzie, także w Paryżu drożyzna,—wywodzi jedna z gazet krakowskich—podkopała byt materialny 83-letniego pełnego zasług starca, który nie ustaje w pracy i jeszcze z początkiem tego roku wydał spory tom, poświęcony Legionowi Adama Mickiewicza z r. 1848, a obecnie ciągle pracuje nad ukończeniem obszernych wspomnień swego życia, które upłynęło mu na emigracji, gdzie był przez dziesiątki lat uznanym przez ogół nasz i przez Francję reprezentantem Polski, nie uznającej rozbiorów i dążącej pomimo najcięższych warunków do wyzwolenia.

Akademja Umiejętności w miarę swych skromnych zasobów, przeznaczonych na cele wyłącznie naukowe, nie daje upaść stacji paryskiej i delegatowi swemu niewątpliwie nie omieszka pomóc dodatkiem drożyznianym w bardzo ciężkich dzisiejszych czasach. Ale są inne czynniki społeczne, bardziej jeszcze powołane do zabezpieczenia bytu synowi Adama Mickiewicza. Wszak przed dziesięć laty były Sejm galicyjski jednomyślnie uchwalił wypłacić Władysławowi Mickiewiczowi dożywotną rentę roczną w kwocie trzech tysięcy koron (t. j. wówczas trzech tysięcy franków!) Niech zatem dzisiejszy Sejm, nie Małopolski, ale całej Polski, podniesie odpowiednio do dzisiejszych warunków egzystencji rentę galicyjską, która stopniała do 2100 marek polskich rocznie, do kwoty, mogącej zapewnić najskromniejszy byt synowi Adama Mickiewicza“.

Sądźmy, że równorzędnie z Sejmem powinno społeczeństwo podjąć akcję pomocniczą i postarać się o zebranie daru honorowego dla Władysława Mickiewicza. Nie ubliży to w niczem czcigodnemu starcowi, wielkiemu patriocie, zasłużonemu i skrzętnemu badaczowi wspomnień o pomnikowym Ojcu. Zamierzenie podobne byłoby zaledwie spłaceniem części długu wdzięczności względem prochów nieśmiertelnego barda narodowego i osłodziłoby sędziwe lata pracownika *„Quai d'Orleans“*.

Aby jednak myśl przybrała formy rzeczywistej wartości, musi „dar honorowy“ być wobec kursu naszych znaków pieniężnych bardzo wydatnym i prędko urzeczywistnionym. Skarb polski prześwieca pustkami i aczkolwiek spełnić musi obowiązek, wkraczający w zakres honorowych kanonów, przecież społeczeństwo właśnie z powodu panujących trudności nie może odsuwać się od pośpieszenia z uznaniem imienia, które jest dla niego symbolem prawdziwej świętości i jasną gwiazdą w najmroczniejszych chwilach.

Ł.

List do Redakcji.

Otrzymujemy od Rektoratu Wolnej Wszechnicy Polskiej następujące wyjaśnienie:

W № 31 „Tygodnia Polskiego“ z dn. 6 sierpnia r. b. ukazał się artykuł o uczelniach wyższych. Autor p. P. W., omawiając sprawę organizacji tych szkół oraz politykę szkolną Ministerjum Oświaty, wymienia między innymi Wolną Wszechnicę Polską, której stosunek do Państwa przedstawia się, zdaniem autora, oryginalnie ze względu na statut, kontrolę Ministerjalną oraz subwencje skarbowe.

Aby uniknąć w tej mierze nieporozumień i nie wprowadzać zamętu w poglądy społeczeństwa na sprawę Wolnej Wszechnicy Polskiej, uważamy za konieczne wyjaśnić stosunek ten w zakresie tych trzech zasadniczych punktów.

1-o. Statut. Został on zatwierdzony przez Pana Ministra Spraw Wewnętrznych tylko na skutek tego, że Wolna Wszechnica Polska posiadała dawniej i nadal posiadać pragnie charakter *ereszenia*, w którym

dla jej celów partycypują zarówno członkowie rzeczywisci i czynni (profesorowie i docenci), jak i członkowie popierający (osoby fizyczne i prawne, opłacające składki). Jakkolwiek pierwsza kategoria członków ponosi cały ciężar pracy i odpowiedzialności, to jednak istnienie tej drugiej kategorii gwarantuje Wszechnicy nietylko pewną część dochodów, lecz i poddaje działalność jej bezpośredniej kontroli społeczeństwa. Chcąc utrzymać tę zasadę, trzeba się było zgodzić na legalizację statutu przez Ministra Spraw Wewnętrznych. Zatwierdzenie statutu dokonane jednak zostało w ścisłym porozumieniu z Ministerjum Oświaty, które podjęło się bezpośredniej kontroli zwierzchniej, a delegat tego Ministerjum może brać udział we wszystkich posiedzeniach władz W.W.P. (art. 26 statutu). Niewątpliwie jako brak w organizacji Państwowej uznać należy to, że ta forma istnienia, w jakiej wyraża się praca Wolnej Wszechnicy Polskiej, nie została objęta bardziej formalnymi przepisami, bowiem próba, za jaką uznać należy ustawę o szkołach akademickich z dn. 13 lipca 1920 r., usiłuje regulować tylko życie szkół akademickich przez tę ustawę i dla niej stworzonych, tak jakgdyby życie polskie nie ujawniło się uprzednio w żadnej odrębnej a pozytywnej i pożytecznej formie istnienia. Pomińcie w ustawie tej czynnika ideowego, jaki reprezentuje Wolna Wszechnica Polska, jako organizacja naukowo-społeczna, odbiera społeczeństwu wpływ, inicjatywę i ingerencję w życiu szkół wyższych. O naprawienie tych niedomagań winny się czynniki miarodajne w interesie samej sprawy jaknajszybciej zatroszczyć.

2. Kontrola. Jest ona przewidziana przez statut i jest przez odpowiednie władze Ministerjum Oświaty wykonywana. Regulaminy i programy naukowe są przedkładane Ministerjum, choć każdorazowe zatwierdzenie ich dla instytucji Wolnej Wszechnicy nie jest przewidziane. I słusznie. Regulamy i programy szkół wyższych, w szczególności prywatnych, nie mogą i nie powinny być czemś nazbyt stałym, formalnym, gdyż krępowałoby to możliwie szybkie i celowe doskonalenie się pracy organizacyjnej i nauczycielskiej. Wszelka rutyna i schemat, choćby najlepszy,—to dla szkoły wyższej śmierć. Państwo nasze nie może podać tej pracy programowo-organizacyjnej, jaką następująca mu jego własne zakłady, które wielokrotnie z tej właśnie przyczyny chromają, że aparat rządowy nie może być dostatecznie giętki i sprawny. Gdyby jeszcze musiało szczegółowo rozważać każdy przepis, wydany przez szkoły prywatne, to praca ta, ze względu na swój oficjalny i autorytatywny charakter, przeroslaby niewątpliwie jego siły. Mniemać przytem należy, że korporacja nauczycielska, której uchwały podlegają 2—3 Instytucjom wewnętrznym, jest najzupełniej kompetentna, aby uniknąć kardynalnych błędów, o ile one wogóle w dzisiejszych warunkach życia polskiego uniknąć się dadzą. Władze państwowe w naszym rozumieniu posiadają zresztą środki regulowania każdego programu przez swe komisje egzaminacyjne, gdzie wymagania, stawiane każdej kategorii fachowców, określić mogą formalnie i drobiazgowo każdy szczegół wykształcenia kandydata. Sposób zdobywania potrzebnej wiedzy, jego czas i miejsce są czynnikami z punktu widzenia państwowego naogół drugorzędni. Swoboda wyboru, wolność uczenia się, inicjatywa prywatna osób i zreszeń, wreszcie emulacja konieczna w takich razach, są

czynnikami raczej dodatnimi i krępowanie ich nie jest pożyteczne.

3-o. Subwencje. O tem najlepiej mówią cyfry. Wolna Wszechnica Polska jest obowiązana bardzo władzom ministerjalnym za pomoc udzielaną. O wydatnej subwencji—jak to czyni autor artykułu—mówić tu jednak nie można. Np. za czas od 1 lipca 1920 r. do 1 sierpnia 1921 r. a więc w ciągu okresu jedenastomiesięcznego wydatki Wolnej Wszechnicy Polskiej wyniosły sumę mk. 12,363,701. W tej samej sumie przychodzące subwencje Państwowe (w tymże czasie okresu) wyniosły mk. 675,000 czyli 5,4%. Cyfry te mówią same za siebie. Wynika z nich dowodnie, że Wolna Wszechnica Polska nie eksploatuje skarbu państwa „wydatnie“, że raczej wyciąga ze społeczeństwa znaczne sumy na cele nauki i oświaty, które może utonęłyby w innych, mniej idealnych, celach, gdyby nie praca Wszechnicy. Z tych więc źródeł przedewszystkiem wzbogaca się inwentarz naukowy kraju, kształci się z górą 1500 słuchaczy (cyfra za rok ak. 1920-21) oraz umożliwia celową i sędziwą, że pożyteczną egzystencję z górą 100 osób, stanowiących personel nauczycielski (profesorowie, decenci i asystenci) Wolnej Wszechnicy Polskiej.

Jak widać z powyższego, działalność Wolnej Wszechnicy wyręcza i—w pewnej mierze—dopomaga Państwu w dziele krzewienia wiedzy, że pominiemy tutaj narazie wszelkie inne bardziej idealne i oderwane zyski, których w granicach tych wyjaśnień rozstrząsać nie można.

W zakresie więc programu naszej polityki oświatowej należałoby wziąć pod uwagę i te okoliczności, które istotnie stanowią pierwiastek „oryginalny“ w życiu polskiem; oryginalności tej bynajmniej nie mamy powodu się żenować i obawiać.

Ś. p. Paulina Kuczalska.

„Nie rozgrzeszajmy się niepodatnością chwil, lecz pracujemy wytrwale nad utworowaniem kobietom drogi do urny wyborczej, by w stosunkach ludzkich zapanowała czysta moralność i równy wymiar sprawiedliwości dla wszystkich“. Słowa ś. p. Pauliny Kuczalskiej, najlepiej może charakteryzujące to posłannictwo ideowe, które podjęła i które do śmierci głosiła. Urodzona w r. 1860, przeżyła okres pozytywizmu, który odziedziczony po matce entuzjazm ideowy skierował na drogę nauki ścisłej, badań biologiczno-socjalnych.

Gruntownie wykształcona, ś. p. Kuczalska Reinschmidt zapoznaje się z ruchem kobiecym na Zachodzie, nawiązuje bliskie stosunki z wybitnymi pionierkami, jak Marją Dessaisne, Anitą Augsburg, Liną Morgenstern, Śwen Stronp, Elizą Kraśnohorską, Świetłą i innymi.

W r. 1889 bierze osobisty udział w wielkim kongresie kobiecym w Paryżu. Jednym słowem, sprawę społeczno-politycznego równouprawnienia kobiet stawia na niewzruszonych zasadach nauk socjalnych, popierając swe stanowisko stanowiskiem kobiet, skupionych w organizacjach obejmujących Europę, Amerykę, Australję i Azję.—Chodzi pionierce naszej o to, by pierwiastek psychiczny, właściwy naturze kobiecej, wnieść do ży-

cia społeczno-politycznego, by w ten sposób uzupełnić to życie, które, budowane jedynie przez mężczyzn, grzeszy jednostronnością, idealizując pierwiastek siły.

Przez wprowadzenie kobiety, jako nowego czynnika do życia obywatelskiego, wprowadza się nowe wartości społeczne: 1) miłość uspołecznioną, 2) twórczość kobiecą, 3) etykę kobiecą. Ideologię swoją głosiła w *Échu*, *Przeglądzie Tygodniowym*, *Tygodniku Ilustrowanym*, *Ogniwie* — w redagowanym przez siebie *Sterze* (1895-1898, 1907-1914), w broszurach: „Młodzież żeńska i sprawa kobieca“ (1907). „Wyborcze prawa kobiet“ (1907). W sztuce dramatycznej „*Siostry*“, granej w 1906 r. W tece pośmiertnej czekają druku głębokie i ciekawe prace „*Dzieje stanowiska kobiet na tle rozwoju ludzkości*“, „*Zmiany i uzupełnienia ustawy konstytucji polskiej z r. 1921*“. Pierwsza charakteryzuje epokę, w której kobieta walczyła o prawa, w drugiej poddaje autorka poważnej krytyce konstytucję Polski, nad którą pracowały pierwsze poselki do sejmu Rzecz. Polskiej, inicjuje w myśl swych zasad nowe organizacje społeczne i t. p. Młody, dzielny umysł przerzuca się z niezwykłą przytak wężym organizmie energią w nową epokę życia narodu i odrazu chwytając ster, odrazu zwraca się do zagadnień dla życia społecznego najważniejszych.

Ś. p. Paulina Kuczalska jest również niezmordowaną organizatorką: w chwili dla życia społecznego najcięższej jest ona współzałożycielką III szwalni, Bazaru wyrobów kobiecych, Komitetu damskiego przy Tow. Opieki nad Zwierzętami, Delegacji pracy kobiet, następnie Koła Kobiet przy Tow. popierania przemysłu i handlu; w 1907 r. powołała do życia Związek Równouprawnienia Kobiet Polskich, którego była przewodniczącą do końca życia.

Plan pracy, zaiste, bogaty, ukoronowany § 12 Konstytucji Polskiej, przyznającej obywatelce równouprawnienie społeczne i polityczne.

Zmarła odeszła z placu boju, jako zwycięzca, zdobyła dla młodszych pokoleń drogę, wiodącą do celu, odeszła z wiarą, że Jej trud ciężki i znojnny, trud całego żywota niby jasna pochodnia powiedzie kobietę, obywatelkę zmarłych-wstałego państwa, dalej, że da ona szczęście narodowi, że przyczyni się ona do szczęścia ludzkości przez wprowadzenie do życia społeczno-politycznego miłości i etyki.

Cześć Twej pamięci, Bojownico, cześć Twej pamięci, Patryjotko, cześć Twej pamięci, Wolny Człowieku.....

Dr Romana Pachucka.

Stosunki handlowe polsko-jugosłowiańskie.

(Dokończenie).

Jugosławia głównie eksportuje zboże, produkty hodowli, drzewo, przywozi zaś w największej ilości wyroby tkackie, artykuły chemiczne, żelazo i wyroby

żelazne (głównie narzędzia i maszyny rolnicze) i t. d. Głównym odbiorcą produktów rolnych Jugosławii są Włochy, potem Austria, a w mniejszych rozmiarach Grecja, Czechosłowacja, Francja, Bułgaria, Niemcy, Polska (zaledwie 1.05% całego eksportu Jugosławii) i t. p. Naogół należy zauważyć, iż Jugosławii znacznie mniej wywozi, niżby wywozić mogła; dotyczy to kukurydzy, mięsa, owoców i t. p. Jedną z przeszkód są taksy eksportowe w przywozie artykułów następujących: ziemniaki jadalne, artykuły produkcji zwierzęcej tłuszcz, mięso, garbniki, niektóre rudy, rtęć i wełna. Wywóz z Polski do Jugosławii będzie mógł objąć produkty przemysłu tkackiego oraz naftowego i żelaznego, na które zapotrzebowanie w Jugosławii jest b. znaczne. Polska w handlu zewnętrznym Jugosławii dotychczas brała udział minimalny; Wywóz do Polski w r. 1920 stanowił zaledwie 0,75% ogólnego wywozu, zaś w r. b. 0,13%. Natomiast wywóz z B. H. S. do Austrii w r. b. stanowił 41,98%, do Włoch — 18,79, Niemiec — 17,31, Szwajcarii — 6,26, Czech — 4,66 i t. p. Polska zajmowała miejsce — 16-te. Na przywóz artykułów zbożowych w większych ilościach nie będzie można w r. b. liczyć. Przedewszystkiem urodzaj w r. b. oceniany jest miernie-średni, wobec czego prasa nawołuje obecnie do zastosowania środków w celu zabezpieczenia zapotrzebowania wewnętrznego państwa na rok przyszły. Ponadto z dokonanego ostatnio obliczenia zapasów zboża z lat ubiegłych okazało się, że są one o wiele mniejsze, niż ogólnie przypuszczano. Jedynie kukurydzy i jarzyn strączkowych jest jeszcze podostatkiem. Natomiast szczególnie dotkliwy jest brak owsa. Wywóz artykułów zbożowych (mąka, pszenica, owies) utrudniony jest również skutkiem stałego wzrostu cen. Dlatego też obecnie zagranica interesuje się przeważnie tylko *kukurydzą*. Również nie można zbyt liczyć na przywóz z S. H. S. bydła i mięsa. Jakkolwiek nowa taryfa wywozowa, polegająca na niższych opłatach celnych, ułatwia znacznie wywóz bydła z Jugosławii, chwilowo nie wpłynie ona na wzrost eksportu, gdyż wydana została zapóźno, już po głównym sezonie wywozowym. Niekorzystnie na eksport mienia jugosłowiańskiego wpłynie wzrost jego ceny.

Naogół dla Polski większą wagę posiada wywóz własny, niż przywóz z Jugosławii w pierwszym rzędzie ze względu na wysoką wartość waluty S. H. S. Na rynku jugosłowiańskim będzie można znaleźć korzystny zbyt dla produkcji przemysłu włókienniczego Bielska, który dokładnie zna potrzeby i zwyczaje miejscowe, można będzie zaopatrywać ludność jugosłowiańską w wyroby przemysłu platerowniczego, żelaznego (maszyny i narzędzia rolnicze, naczynia emaljowane), wreszcie dostarczać soli i produktów naftowych.

Handel z Jugosławją (jak wogóle również z innymi krajami bałkańskimi), będzie mógł rozwinać się na większą skalę dopiero po uregulowaniu kwestji tranzytowych, co ma nastąpić na konferencji w Porto-Rose. Do tego czasu dojdzie może do skutku kilka transakcji, nawet większych (np. w tej chwili pertraktuje jedna firma jugosłowiańska z Sekcją Monopolową M. Skarbu o sprzedaż 1500 ton soli), ale o stałej wymianie towarów można mówić jedynie w razie posiadania możliwych komunikacji.

L. P.

Z piśmiennictwa.

„DUSZE DOWÓDCÓW“.

Nakładem Głównej Księgarni Wojskowej ukazała się w przekładzie polskim p. Izzy Moszczeńskiej książka Jana des Vignes Rouges p. t. „Dusze dowódców“.

Nie jest to praca naukowa z dziedziny psychologii wojskowej, jest raczej zbiór nader cennych obserwacji, które mogą i powinny być uwzględnione przez ludzi, co będą chcieli przeprowadzić badania nad duszą żołnierską w ciągu wielkiej wojny.

Zbiór żywo napisanych nowelek, wspomnień osobistych autora, tchnących prawdziwą szczerością, czystą prawdą i nadzwyczajną zdolnością obserwowania i analizowania duszy własnej i duszy towarzyszy broni śmiało pociągająciami pióra rysuje nam bohaterskie zapasy tak bliskich naszemu sercu ynów Francji, kreśli sceny wojny w całej jej nagiej, szeptanej i nieupoetyzowanej grozie i prostocie, nożwała zajrzeć w tajniki duszy i serca jej szarego pohatera.

Ileż w tych prostych słowach prawego żołnierza, malującego wojnę tak, jak ją widział, nie przybierającego jej w strojne szaty kunsztu literackiego, mieści się jednak istotnej poezji, działającej tak silnie na czytelnika, co sam przeszedł wojnę, właśnie tą prostotą i szarością pozbawioną ozdób sztucznych! Jak wielkiem, nieświadomem bohaterstwem świeci skromny francuski poilu w szeregu prostych i naturalnych dla żołnierza czynów, gdy przewyciężając zmęczenie, obawę, wreszcie tłumiąc w sobie nieraz własny osobisty ból, złożony na ołtarzu ojczyzny, dokonywa swych codziennych, nudnych, jak codzienna zupa żołnierska czynności, z których złożyc się ma wielki czyn zbrojny narodu. To bohaterstwo walki wewnętrznej, szalonego napięcia nerwów i woli, ustawicznego zmagania się z sobą samym, by zwyciężywszy siebie, przyczynić się [bodaj najmniejszym drobiazgiem do ogólnego zwycięstwa, schowane gdzieś w głębi duszy szarej potężnej masy tłumy żołnierzy, nieznanne własnemu społeczeństwu, nieraz przezeń nieodczute zgoła, przemawia skromnym tonem ze stron książki francuskiego żołnierza, a przeciw właśnie tą skromnością wywiera największe wrażenie i zmusza do oddania nieznanemu „szaraczkowi“ należnego szacunku.

To zdjęcie zasłony, za którą zwykle publiczność chce widzieć jaskrawemi farby rzucone obrazy wojny, to wykazanie nie wielkich pocłażnięć strategicznych lub taktycznych, — lecz wewnętrznych przeżyć szeregowego i dowódcy, ma ogromne znaczenie pedagogiczne dla tych, co chcą być prawdziwymi dowódcami swoich ludzi. Muszą oni znać przeżycia psychiczne wojny, muszą znać jej nastroje, muszą umieć odpowiednimi środkami na nie oddziaływać, muszą być gotowi do wielkiego wysiłku w walce z sobą samym, by w chwili decydującej nie zawieść.

Te sceny wojny z żołnierską prostotą skreślone po za wysokimi walorami i dla cywilnego społeczeństwa artystycznymi, nie są pozbawione większej wartości. Nauczają one rozumieć i odczuwać żołnierza, wprowadzają w ton jego życia, nawiązują żywy kontakt pomiędzy społeczeństwem a wojskiem, ten kon-

takt zdrowy, oparty na zrozumieniu jego interesów i potrzeb duchowych, którego tak często mu brakło i u nas w okresie walk ubiegłych.

Niech czytelnik po przeczytaniu tej książki zechce tylko zrozumieć, czem żołnierz żyje, i nie wymaga odeń opowiadań barwnych o czynach, które są dla niego, pomimo całej złożoności przeżyć, zawsze tak proste.

G.

Z literatury angielskiej.

Z powodzi mało-lub nawet bezwartościowych ekliwych romansideł angielskich, którymi zalewają: lipski, obecnie paryski, Tauchnitz i niewiele od niego lepsi londyńscy: Nelson oraz Collins księgarskie rynki Europy, wyróżnia się kilka zaledwie wybitniejszych nazwisk autorów, których tematy sięgają po za niezajmujące życie i sprawy pluto-i arystokracji angielskiej. Nieliczne kadry tych pisarzy z Humphrey Ward i Galsworthy'm na czele powiększył świeżo F. Brett Young, którego powieść „The Black Diamond“ *) F. Brett Young: „The Black Diamond“. London. W. Collins Sons et C-o. Ltd. (Czarny djament) śmiało zrywa z towarzyskim konwencjonalizmem i treść swoją czerpie z niewyzyskanej skarbnicy życia ludu.

Środowiskiem powieści jest życie górników Walijskich, którego swoiste piękno—mimo ciężkich warunków pracy—oddał autor z wielkim talentem i prostotą. Bohater powieści, Abner Fellowes, wyrósł w tem środowisku przywykł pędzić życie między kopalnią, a oberżą, więc miejscem, „gdzie się pieniądze zarabia i gdzie się je wydaje“. Opis życia tego i pracy jest zupełnie obiektywny, bez Upton Sinclair'owskiego *parti pris* w postaci klasowego zabarwienia kapitalistycznego wyzysku pracujących przez posiadaczy. Niezmiernie charakterystyczne dla stosunków angielskich jest uprzywilejowanie Fellowes'a, który ku zazdrości reszty towarzyszy zostaje powołany z kopalni do pracy biurowej na powierzchni, jedynie dzięki temu, że był znany jako doskonały footballista. To wyjście z kopalni, które bohater powieści zawdzięcza jedynie górującemu nad wszystkim angielskiemu zainteresowaniu sportem, nie wyszło mu jednak na dobre. Nieprzywykły po łatwej pracy demoralizuje się przy niej, zostaje za jakieś wykroczenie wydalony, aż w końcu, otępiaty i bezradny, wpada w ręce werbunkowego agenta, który upaja go i skłania do zaciągnięcia się do wojska.— Do tego momentu nie zdradza powieść nic, co odcinałoby się wyraźniej od ogólnego poziomu zainteresowań przeciętnego angielskiego robotnika, więc: pracy, sportu i wódki. Istnieje jednak coś lepszego i wyższego, co najskuteczniej dopomaga do przewyciężenia smutnej rzeczywistości i co wskazało Abnerowi właściwą drogą życia. Już od lat najmłodszych dążył on nieświadomie do wypełniania sobie egzystencji czemś szlachetniejszym i dającym więcej zadowolenia, niż gra w kregle, kupna miłość i szklanka dobrego wina. Traf życiowy wskazał mu taki cel, i odtąd poświęca mu się bezpodzielnie. Przyjaciel jego, George Malpas, zostaje wtrącony do więzienia za zabicie policjanta w szale pijaństwa. Abner przysięga mu zaopiekować się żoną jego i dziećmi. Wie on dobrze,

Jak we wsi tłumaczą sobie ten stosunek, nie tajne mu też, że wyjątki jedynie wierzą w bezinteresowność jej uczuć dla Mary. Pozwala ludziom gadać, co chcą, a sam stoi tak twardo przy spełnieniu dobrowolnie wziętego na siebie obowiązku, że kiedy staje się to, co było do przewidzenia, kiedy oboje, i on i Mary, poznają, że łączy ich wzajem miłość, odtrąca ukochaną i ucieka od niej, kiedy ta, słabsza od niego, gotowa mu się oddać. Na inne bohaterstwo nie stać go było.—Umiejętność wycucia i podpatrzenia rysów i momentów idealnych wśród brzydoty i brutalności szarej, przyziemnej egzystencji stanowi rys charakterystycznie, dodatnio wyróżniający Brett Yougea z pośród falangi współczesnych angielskich autorów i autorek, i dlatego specjalną poświęcamy mu wzmiankę.

R. U-owa.

Za oceanem.

Spostrzeżenia prezesa dr. Englisha. — Akcja dla głodnych Rosjan.

Po powrocie z Ameryki Północnej udzielił dr. English, prezes głównego Zarządu Banku Związku Spółek Zarobkowych, przedstawicielowi *Gazety Gdańskiej* wyjaśnienie o nastrojach panujących względem Polski za Atlantykiem.

Wybitni zastępcy świata handlowego, przemysłowego i kapitalistycznego oświadczyli wprost Englishowi, — że rząd amerykański nie może rokować z polskim o udzielenie mu pożyczek gospodarczych i ani dolara nie poświęci na ten cel. Zamierzenie należy pozostawić prywatnej obustronnej inicjatywie. Wszakże inicjatywa podobna musi liczyć się z opinią nieprzyjawną dziś Polsce.

Wszelkie nadzieje naszego rodaka rozprysły się o górę oporu. Jeszcze przed rokiem mieliśmy w Stanach Zjednoczonych pewną szczyptę zyczliwości, — w najgorszym razie, — nieutralności. Obecnie i neutralność oblokła się w kształty jawnej niechęci. Ameryka jako główny wierzyciel świata, jako naczelny basen kapitału, może swobodnie wybierać jego lokatę i woli nawiązywać stosunki z państwami, dającymi rękojmię pewności, nie z wskrzeszoną i dopiero urządzającą się Rzeczpospolitą. Nadto, jankiesi są najmylniej informowani. Fraacuską i niemiecką prasę uważają za uprzedzoną, pierwszą za, drugą prze-

ciw Polsce, Czerpią za tem hojnie z angielskiej, tworzącej echo z nad Sprewy... Dzień po dniu przynoszą najpoważniejszo pisma coś nieprzychylnego dla naszego kraju. Szczególniej złością Amerykan „wojny bandyckie“ (Wilno, Lwów, Górny Śląsk) w obawie nowych zatargów międzynarodowych. Tych zaś mają do syta. Szczególniej Polska — ich zdaniem — winna wystrzegać się zbrojnych rozpraw, mając u siebie głód, choroby i przesilenia wewnętrzne.

Wychodzący w Toledo, w stanie Ohio, wielki tygodnik polski „Ameryka — Echo“ rozumuje z powodu akcji, wszczętej u nas dla pomożenia głodującym w Rosji:

„My, Polacy amerykańscy, wierni tym ideałom, jako nieodrodni synowie naszych Pra ojców we wszystkim co dobre i szlachetne, złożymy także nasz grosz ofiarny, gdy organizacje amerykańskie zapukają do nas i poproszą o ofiarę. Odezwę własnie taką nadesłała nam filantropijna organizacja kwadrów „American Friends Service“ z Philadelphji, zgromadzająca pięć milionów dolarów na głodne dzieci w Rosji. Zrzeszenie to niesło skuteczną pomoc naszym Braciom w Ojczyźnie i pozostaje w styczności z Amerykańską Administracją Ratowniczą, pod zarządem p. Hoovera.“

„Skoro zatem do nas zapukają, damy co możemy, choć nam teraz wcale się nie przelewa.“

Od Wydawnictwa.

Uprzejmie prosimy Sz. pronumeratorów o uregulowanie zaległej i bieżącej prenumeraty. Przedpłata za kwartał IV wynosi 600 marek; miesięcznie 200 mk.

TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.

Prenumerata „Tygodnia Polskiego“ wynosi od 1-go października **miesięcznie 200 mk. kwartalnie 600, zagranicą podwójnie.** Cena pojedynczego numeru **50 mk.**

Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy 80 mk. — Wiersz oblicza się na nonparel. Strona ogłoszeniowa dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.

Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch“, Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: SPÓŁKA WYDAWNICZA „ZJEDNOCZENIE“ Redaktor: Leon Kozłowski.

SPÓŁKA AKCYJNA WYDAWNICZO-DRUKARSKA „PRACA“, KREDYTOWA 2/4. TELEFON 60-70.